ZDZISŁAW GRZEGORSKI

Autobiografia

Genesis

Urodziłem się... – No, trudno: tak trzeba zacząć moje zwierzenia, moją elegię *O sobie samym do potomności* naśladując – albo li też nie – Janiciusa. Mam przecież metrykę, a w niej zapisano: Grzegorz Zdzisław (podkreślono...) Grzegorski, syn Antoniego (handlowiec – jak to wtedy określano, urodzony w Inowrocławiu, syn Eugeniusza i Michaliny Polanowskiej) i Stanisławy Kubiaczyk (urodzona w Poznaniu córka Bartłomieja i Jadwigi Brodniewicz). Potem tłumaczono mi, że w urzędzie nie zgodzono się na zapis: Zdzisław Grzegorz, gdyż to wskazywało na szlacheckie pochodzenie. Nie miał takich obiekcji proboszcz parafii św. Marcina. W metryce chrztu jest zapis: Zdzisław Grzegorz, urodzony 13 października 1930 roku o godzinie 19.30, ochrzczony 19 października – co najważniejsze! – przez... błogosławionego ks. Józefa Kuta, a więc dziś, gdy to wszystko opisuję, ostrzegam: mam w Nim niebieskiego Opiekuna, który wyprasza mi łaski... *Obronił* mnie już we wczesnym dzieciństwie przed groźnym *marszałkiem* kościelnym, który prowadząc księdza zbierającego składkę głośno stukał w posadzkę wielką laską. Bałem się go... Zobaczywszy małego szkraba przy rodzicach, chwycił za rękę i chciał z pewnością poprowadzić przed ołtarz, a szkrab w krzyk!

Zdzisław odszedł, Zdzisław przyszedł

Nadano mi imię Zdzisław – piątemu, ostatniemu synowi – upamiętniając pierwszego, który nagle zmarł w wyniku nieszczęśliwego wydarzenia podczas ćwiczeń gimnastycznych w Gimnazjum św. Marii Magdaleny, gdy ja *byłem w drodze*. Zdjęcie jego grobu na cmentarzu świętomarcińskim ukazało się w jednej z gazet poznańskich jako załącznik artykułu omawiającego jego sylwetkę – m.in. miłośnika ptaków, stąd koledzy na drzewie rosnącym przy grobie umieścili ptasznik. Legenda zaś rodzinna m.in. głosiła, że podczas trzydniowego pobytu w szpitalu miał mówić: *Jeślibym nie miał być księdzem, to niech mnie Pan Bóg zabierze*. Pono powiedziano w domu: Zdzisław odszedł – Zdzisław przyszedł. Rychło okazało się, że używanie tego imienia budzi bolesne wspomnienia, więc od razu zostałem... Grzesiem! Dowód osobisty Polski Ludowej także to potwierdził: zapisano Grzegorz Zdzi-

sław nie przejmując się jakimiś ustaleniami... Natomiast ks. Rektor Wietrzykowski w okresie dzieciństwa kleryckiego kiedyś wezwał mnie pytając, jak ci właściwie na imię...? Gdy to wszystko opowiedziałem, zawyrokował: *Tobie będzie na imię Zdzisław.* A że z tego wyniknęły potem różne *qui pro quo*, *polskoludowy* paszport też podał używaną wersję rodzinną, zaś dalej, trochę później, potem – Bank Gdański zbierający moją lichą pensję już konsekwentnie to naśladował. I kiedy tu obchodzić imieniny? – Przestałem tym się martwić i w ogóle ich nie *odprawiam.* Szczerze mówiąc: i lokalowych, i finansowych warunków nigdy nie miałem jako robotnik Kościoła poznańskiego, więc było mi to na rękę.

Kto przeczyta – sprawi mi zaszczyt, kto tego nie zrobi – sprawi mi przyjemność

I jak tu nieelegijnie, nie na Janiciusową modłę pisać *De seipso ad posteritatem??* Nawet Owidiusz w *De vita sua* nie potrafił inaczej, a że mało kto zna – niech tu zacytuję:

Ille ego qui fuerim teneorum lusor amorum
Quem legis, ut novis, accipe posteritas.

Można czytać Owidiusza, albo dalej Grzegorskiego – albo li też n i e... – bo ponaglany pisał raczej z konieczności dzieląc się radością a i... bólem bycia księdzem, bo spisał to raczej dla siebie, choć wiele pozostało tylko w pamięci. Tak więc nie będzie o tym, jak młodemu księdzu powiedziano: *O, nie umie grać w brydża, a nie patrzy i nie uczy się, tylko coś tam czyta! – Ty się tu nie utrzymasz, bo za dobrze głosisz kazania* – Gdy ostatni musiał wyjść z konfesjonału: *Męczennikiem może ksiądz być, tylko nie u mnie.* – To znów nadgorliwa przełożona kazała kapelanowi odczytywać modlitwę powszechną przywiezioną z Warszawy *o przyjazd Pawła VI do Polski*, ze słownictwem z innej epoki, która miała *skruszyć umysły pychą nadęte* – i tym podobne... – a że on po pewnym czasie zamienił ją na liturgiczny tekst standardowy, więc oskarżyła go od razu w Warszawie, że jest nieposłuszny władzy duchownej. I... były konsekwencje, ale i przeprosiny z Rzymu od matki generalnej. *Documenta habeo.* I że przez wiele lat wypadło mu mieszkać *półgębkiem* tu oto tam, też nie będzie. Wzorem mu było *samoograniczenie*, jakiego przykładem – o czym będzie! – był ks. kanonik Józef Jasiński: jeden skromny pokoik, a i tak otwarty dla wszystkich. Parafrazując wypowiedź jednego z wielkich kompozytorów, chciałby powiedzieć: Kto przeczyta – sprawi mi zaszczyt, kto tego nie zrobi – sprawi mi przyjemność.

Najpierw do „Sulerzyskiej" potem do „Marynki"

Tak więc urodziłem się na ul. Wjazdowej 9 – naprzeciw Pomnika Wdzięczności, w miejscu, gdzie odbywały się poznańskie uroczystości: defilady, uroczystości religijne. Balkony naszego starego budynku już nie wytrzymywały ciężaru widzów, gromadzących się także na naszym, by obserwować uroczystości, dlatego kilka miesięcy przed wybuchem wojny wszyscy musieli

się wyprowadzić, choć sam budynek jednak przetrwał do czasów powojennych... Zamieszkaliśmy na pl. Bernardyńskim 2: bracia mieli blisko do *Marynki* – Gimnazjum i Liceum Św. Marii Magdaleny, a ja do Prywatnej Szkoły Powszechnej Janiny Sulerzyskiej – Głogowskiej, choć nieco dalej, bo przy ul. Św. Marcin 66/67. Taka była tradycja rodzinna kształcenia synów: najpierw do *Sulerzyskiej*, potem do *Marynki*. A że to łączyło się z dużymi wydatkami, pomagała mieszkająca z nami ciotka, Weronika Kubiaczyk, pracująca w redakcji *Tęczy*. Mawiałem, że mam dwie matki. Myślę o niej z wielką wdzięcznością: samotna, jak mawiała, *z wyboru* – taka świecka owoczesna zakonnica, ofiarna i uczynna, surowa dla siebie i dla nas. To prędzej od niej otrzymało się symbolicznego klapsa nawet za opieranie się łokciami na stole, niż od matki. Jej zawdzięczam wielką troskę o formację religijną, strojenie obrazu św. Stanisława Kostki w pięknej oprawie, małego ołtarzyka z wymiennym obrazkiem, o nabożeństwo do św. Jana Kantego... Z nią jeździłem do katedry, bo tam miała swojego stałego spowiednika, ks. kanonika Nagórnego-Rucińskiego. W dziecięcej pamięci utkwiła mroczna kaplica, wielki konfesjonał – cisza, szepty... To ona była bardzo przejęta, gdy dowiedziała się, że podczas zakończenia roku szkolnego i Mszy św. w pobliskim kościele Przemienienia Pańskiego, który był i naszym szkolnym kościołem, przystąpiłem jako jedyny uczeń do Komunii św. po śniadaniu w domu. Było to parę tygodni po uroczystej I Komunii św. w kaplicy sodalicyjnej przy kościele św. Marcina 17 maja 1939 roku. Tłumaczyłem, że mi się zrobiło przykro, że nikt nie zbliżył się do ołtarza – poza paru starszymi osobami. Ja podszedłem do wychowawczyni, p. Zofii Laubert – wspaniałej nauczycielki kształcącej dzieci najnowszymi metodami. Zapytałem, czy mogę przystąpić do Komunii św. Oczywiście potwierdziła, acz pamiętam, że była zdziwiona moim pytaniem. Przecież przygotowywał mnie ks. Leon Skórnicki, nasz kapelan szkolny, i na pewno wszystko wyjaśnił... No, nie mogła wiedzieć, że jakby w dziecięcym natchnieniu, antycypowałem przyszłe ustalenia Kościoła posoborowego!

Pierwsze świadectwo za pierwsze półrocze 22 grudnia 1937 – oczywiście dla Grzesia Grzegorskiego – także legitymacja szkolna – i ostatnie z promocją do klasy trzeciej: 21 czerwca 1939 roku... Może zbyt szybko *mądrzałem* wychowując się jako najmłodszy wśród starszych braci i ich kolegów... Ale... już odprawiałem msze w ornacie zrobionym samemu z papieru. Dumny zaś byłem z własnych zabawek, m.in. z cegiełek: gdzieś zdobytą gliną wypełniałem pudełka od zapałek i wypalałem w piecu.

Naucz nas liczyć dni nasze, byśmy zdobyli mądrość serca... (Ps 90). Skończyło się beztroskie dzieciństwo. I jak tu nie pisać o trudnym dzieciń- Karmel i już wojna

stwie w tym szacownym miejscu, skoro te okoliczności kształtowały osobowość, nawet rozwój cielesny dziecka? Jeszcze 21 sierpnia 1939 roku troskliwa ciotka, *druga matka*, zaprowadziła nas, czterech chłopaków, do poznańskiego Karmelu, gdzie zostaliśmy przyjęci do *Bractwa Najśw. Marii Panny z Góry Karmelu*, jak dowodzi przechowywana do dziś legitymacja, i dostaliśmy szkaplerz, noszony odtąd troskliwie, choć łatwo się brudził. – I wojna! Z wysadzonego mostu na Grobli kawał żelaza zlądował z wielkim hukiem na plac Bernardyński przed naszymi oknami. Do szpitala Przemienienia Pańskiego zwożono rannych. Bombardowania... Straszono atakami gazowymi: i ja miałem swoją maskę przeciwgazową. Wjechały oddziały niemieckie na nasz plac – prowadzono polskich jeńców. Kłopoty z wyżywieniem. Znienawidziłem – do dziś – ciągle podobne potrawy z gdzieś zdobytej dyni. Długo oczekiwany powrót dwóch braci z wojny, bo choć licealiści, jako przygotowani przez Przysposobienie Wojskowe, mieli eskortować pociąg z ewakuowanymi urzędnikami i dokumentami magistratu. Tak jak przed wyjazdem z nabożeństwem oglądałem karabin, z którym jeden z braci przyszedł się pożegnać, tak teraz słuchałem jego opowieści i oglądałem odłamek bomby i rozpruty plecak ze zniszczonym butem, na którym ten odłamek się zatrzymał nie raniąc...

Lager Glowno. Strzelce Wielkie

Niemiecki terror... Obawy ojca o dorastających synów. Każdemu z nas przygotował plecak z czymś trwałym do jedzenia i zapasem bielizny. I stało się: późnym wieczorem po godzinie policyjnej na początku lutego 1940, gdy na dworze był trzaskający mróz – gwałtowne dobijanie się do drzwi. Weszli żandarmi, oficer odczytał: *Anton Grzegorski, Bernhardinenplatz zwei, Wohnung drei? – Rrraus!* Miałem wtedy dziewięć lat. A jednak, choć nie chciałbym poszerzać zbytnio tej części opisu swej formacji duchowo-intelektualnej, trudno nie wspomnieć znaczących wydarzeń. Dziś, na podstawie nowych ustaleń, dzieci do lat 14 wywiezione do tego obozu, nabyły praw kombatanckich, a – jak mi komentuje znajomy psychiatra – tego typu przeżycia wywarły niezacieralne piętno na psychice i rozwoju dziecka... Jakby dokumentując to stwierdzenie, przypominam sobie tę straszną mroźną noc, rewizje osobiste każdego z nas, barłogi wielkiego hangaru, gdzie nas stłoczono, żałosne wspólne modlitwy kilkuset ludzi z płaczem śpiewających *Słuchaj, Jezu, jak Cię błaga lud...*, głód, brud – i moją osobista przygodę, gdy w mroźną noc sam wyszedłem *tu oto tam*, a reflektory z wież strażniczych prowadziły mnie do potwornej wspólnej latryny: czekały robiąc z nocy dzień, i odprowadziły z powrotem na barłóg w hangarze. Dziś ze smętkiem patrzę na kserokopię niemieckich dokumentów, które zachowały się: *Liste no. 20 der evakuierten Personen, die am 28 Februar 1940 aus dem La-*

ger Glowno (Posen Ost) in das Generalgouvernement abtransportiert worden sind Tak to w towarowych, opieczętowanych wagonach, w strasznym mrozie jechaliśmy parę dni. Wysadzono nas w Brzesku, zamknięto w bóżnicy, potem rozwieziono po wioskach. Zaczęło się niby-życie w Strzelcach Wielkich, gdzie pasłem proboszczowskie krowy, by co jakiś czas dostać klepkę masła zawiniętą w liściach. Chodziłem do wiejskiej szkoły – zdawali się nie wiedzieć, co zrobić z tym małym, zabiedzonym dzieckiem wygnańców z wielkiego miasta... 28 czerwca 1940 roku wydali świadectwo ukończenia III klasy: Generalgouvernement für die Bezetzten Polnische Gebiete – Schulzeugnis... Same *bardzo dobre!*

Na wygnaniu w Ostrowcu Świętokrzyskim

A obawy ojca o synów trwały: jakimiś drogami dotarło ostrzeżenie, ze gestapo szuka brata po rodzinie i znajomych w Poznaniu. Strach... Jak go ukryć? – Dziś i on zdobył ksero *pięknego* dokumentu: *Geheime Staatspolizei, Posen, den 2.12.1941 – Fahndungsblatt no. 129* ze swoim nazwiskiem i glapą niemiecką. Mimo niemieckiej precyzji – spóźnili się i nie znaleźli miejsca wysiedlenia... Więc co prędzej ucieczka do Ostrowca Świętokrzyskiego: ktoś z dalszej rodziny, tam wysiedlony, znalazł dla ojca pracę w firmie niemieckiej, gdzie był potrzebny fachowiec z dobrą znajomością języka niemieckiego. I tak potoczyły się tam dalsze lata trudnego dzieciństwa, obserwowanie i przeżywanie publicznych egzekucji Polaków, straszliwej eksterminacji Żydów i likwidacji getta, co nadawałoby się do szerokiego zrelacjonowania i refleksji, jak takie przeżycia mogą wpływać na dojrzewanie chłopaka... Bracia żenili się, a ja upodobałem sobie w Wandzi – siostrze mojej bratowej... Pamiętam, że na imieniny kupiłem jej łańcuszek z krzyżykiem... A ze wzruszeniem patrzę na noszącą ślady częstego używania broszurkę z nowenną do Serca Jezusowego, dopisanymi przeze mnie *dramatycznymi* intencjami, która często odmawialiśmy, a matka owalny, wiszący na ścianie, *omodlony* obraz przez całą włóczęgę okupacyjną zawsze w jakiś sposób przewoziła w naszych uciekinierskich tobołkach.

Kapłańskie wzorce na wygnaniu

Pobyt w Ostrowcu, to dalszy etap zbliżania się do księży i ołtarza. Z Krakowa przyjeżdżał nasz *domownik*, od niepamiętnych lat bywający u nas w Poznaniu – ks. Hieronim Stusiński, wielo wieloletni prowincjał pijarów. Z pewnością był *podopiecznym* ciotki... Najbardziej byłem zauroczony ukrywającym się w Ostrowcu ks. Janem Innocentym Bubą – po wojnie wieloletnim prowincjałem w Krakowie. Wysoki, o ascetycznej posturze, umiał rozbawiać wszystkich przy stole, a przy ołtarzu zachwycał mnie skupieniem, odprawianiem mszy św. z przekonującą pobożnością, bo byłem wtedy gorliwym, małym – jak na swój wiek – ministrantem w parafii św. Michała, gdzie także byłem bierzmowany przez biskupa Lorka z Sandomie-

rza. Opiekun ministrantów, ks. Wujda, troskliwie się nami zajmował. Zżyłem się z nim, chadzałem często do jego mieszkania. Organizował różne konkursy gorliwości, wygrywałem symboliczne nagrody. Faktycznie, nawet w silnych mrozach wędrowałem w ciemnościach zimowych poranków z przedmieścia do centrum, do kościoła, by służyć już na pierwszych Mszach św. dźwigając z trudem ogromny, ciężki mszał, z którego korzystał tylko miejscowy proboszcz-kanonik. Mijając niemieckie koszary i strażników ubranych jak na Syberii, przeżywałem niejeden dramat: straszyli mnie, strzelali na postrach... A moja wojenna epopeja ministrancka i znajomość z ks. Wujdą znalazła po wojnie swój zawstydzający epilog... W euforii wstąpienia do seminarium zdobyłem jego aktualny adres i napisałem, że wstępuję do seminarium. Nieoczekiwanie przyjechał do nas do Poznania ze... swoją *siostrą*. Jak się okazało, nauczycielką ze szkoły w jego wiejskiej parafii. Jak się zachowywali, jakie zgorszenie wywołali w rodzinie – pominę. Rychło porzucił kapłaństwo, jak się dowiedziałem.

A szkoła w Ostrowcu? – Powiedzmy: *funkcjonowała*, ale ojciec nie posłał mnie do niemieckiej szkoły, gdyż dzieci ciągle były wywożone do różnych prac polowych, porządkowych – zamiast nauki! Znaleziono mi nauczycielkę, która stworzyła tajny komplet i do niej do domu sekretnie chodziłem na lekcje w małej grupce przerabiając materiał trudno określalnych klas.... Miała otwartą gruźlicę, co było źródłem niepokoju, czy nie zaraża dzieci... Rozchorowała się – zmarła. A tymczasem ojca przeniesiono do Sandomierza: znów dramatyczne przeżycia... Mógłbym pokazać miejsca, opisać, jak wyglądały egzekucje Polaków... Żadnej szkoły, nauki... Tak tu, jak i w Ostrowcu, obcowanie z okazjonalnie poznawanymi, błąkającymi się rówieśnikami trudno nazwać *szkołą*, choć... w pejoratywnym sensie – była taką *szkołą*. Były próby dania mi szansy nauki gry na fortepianie: zacząłem brać lekcje u ostrowieckiego organisty, a wtedy ujawniła się wrodzona wada wzroku, silny astygmatyzm, która utrudniała czytanie nut, a wtedy zdobycie szkieł korekcyjnych nie było łatwe. To był tylko epizod w moim życiowym romansie z muzyką, który miał swoje antecedencje i nigdy niespełnione marzenia o graniu, dyrygowaniu. Niech te szczegóły pominę...

Wojenne psychiczne obciążenie. Przeżycie bezradności

Gdy zbliżali się Sowieci, ojca chciano z niemiecką firmą ewakuować do Niemiec. Więc znów ucieczka do Klimontowa, gdzie przewalił się nad nami front – ucieczka Niemców, nadejście Czerwonej Armii. Potem dalsza tułaczka: Nisko, Rozwadów, dalsze dramaty, aż po upadku powstania warszawskiego Sowieci wznowili ofensywę i przez Ostrowiec Świętokrzyski, gdzie ukrywali się bracia, w okropnych warunkach razem wróciliśmy ewakuacyjnymi pociągami do Poznania. Pozostało raz na zawsze okropne, psychiczne

– nazwijmy to – obciążenie, wprost u r a z: przeżycie bezdomności, brak własnego domu, obawy, gdzie spędzić noc, co będzie jutro, co tak zaciążyło, że gdy przyszło mi się troszczyć na stare lata o bezdomnego chłopaka, głęboko utożsamiałem się z nim przeżywając jego dramat jak swój, o którym nigdy nie mogę zapomnieć! – Rozdzielenie rodziny, ucieczki i włóczęgi w pobliżu frontu – to po stronie niemieckiej, to po stronie sowieckiej. Trupy, fetor rozkładających się ciał, *napuchnięte* rozkładające się zabite zwierzęta, spalone wioski, rozpacz spotykanych ludzi, ich opowieści, dzielenie się kawałkiem zeschniętego chleba... W tych warunkach wyprawa z dzielną matką wśród przemieszczających się wojsk w upalne lato 1944 roku z Klimontowa, gdzie został ojciec na walizce z resztkami rzeczy, do starszego brata w Sandomierzu, by sprawdzić, czy ukrywa się tam, czy żyje (dwaj najstarsi zostali po stronie niemieckiej)...

Oddzielili cię, syneczku, od snów, co jak motyl drżą,
haftowali ci, syneczku, smutne oczy rudą krwią,
malowali krajobrazy w żółte ściegi pożóg,
wyszywali wisielcami drzew płynące morze.

Wyuczyli cię, syneczku, ziemi twej na pamięć,
gdyś jej ścieżki powycinał żelaznymi łzami.
Odchowali cię w ciemności, odkarmili bochnem trwóg,
przemierzyłeś po omacku najwstydliwsze z ludzkich dróg.

I wyszedłeś, synku, z czarną bronią w noc,
i poczułeś, jak się jeży w dźwięku minut – zło.
Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś ręką.
Czy to była kula, synku, czy to serce pękło?

(K. K. Baczyński, *Elegia o chłopcu polskim*)

Dorastanie – w *Marynce*

W strasznych warunkach wracaliśmy do Poznania, by tu zastać zajęte, zdewastowane mieszkanie przy placu Bernardyńskim. Udało się znaleźć inne – przy Górnej Wildzie, w parafii Bożego Ciała. Nauczycielka mieszkająca przy ul. Matejki udzielała mi korepetycji przygotowując do egzaminu wstępnego – oczywiście do *Marynki*. Byłem dumny z pierwszego świadectwa za półrocze 1945/46 wydanego 31 stycznia 1946 roku. Stopnie – jak na takie prymitywne przygotowanie – zadowalające: tylko 3 dostateczne. I tak już bywało, bo zbyt gorliwym uczniem nie byłem, chyba że coś mnie interesowało, w tym język polski (wspaniałe lekcje prof. Stanisława Mroza prowadzone metodą szkoły pracy), języki obce. Był więc i debiut literacki

w gazetce gimnazjalnej, drukowanej powielaczem na omal do pakowania papierze. Ubarwione, zasłyszane wydarzenie – ukrywanie jeńców angielskich – podpisałem: Grisza z I a. Koledzy próbowali dociec, kto to jest, ale się nie zdradzałem. W tymże numerze były odpowiedzi redakcji: Józef Ratajczak – nie nadaje się do druku. Hm, on został literatem, a ja?? W przyjacielskich rozmowach wracaliśmy do tego paradoksu, chociaż aż do niedawnej śmierci ich tematem były ważniejsze sprawy, a było ich wiele. Dość powiedzieć, że żegnając go, nad grobem mogłem wykorzystać wiele fragmentów jego wierszy o zmaganiu się o wiarę w jego ciężkiej, długotrwałej chorobie.

Muzyka – moja wielka pasja

Były i inne artystyczne inicjacje: muzyka – moja wielka pasja. Nauka gry na fortepianie została przerwana już w czasie wojny, gdy okazało się, że zbyt długo i mylnie odczytuję nuty: wrodzona wada wzroku – astygmatyzm, konieczne okulary, tak trudne do zdobycia w czasie wojny. A teraz, mój stały spowiednik, karmelita o. Leonard, zgromadził kilku chłopaków z naszej klasy, by stworzyć mały chórek gregoriański w ich kościele na wzgórzu Św. Wojciecha. Do dziś pamiętam i nucę sobie karmelitańską antyfonę gregoriańską: *Gaudens gaudebo in Domino... – quia induit me vestimento salutis et indumento iustitiae induit me* ... Maestria o. Leonarda w prowadzeniu śpiewu i gregorianka w jego wykonaniu wywarły niezatarty wpływ na moje upodobania i sprawności, czego nie mogę powiedzieć o późniejszym śpiewaniu w chórze w *Paderku*, choć wcześniej, gdy krótko uczył nas w *Marynce* Stefan Stuligrosz, już rozkochałem się w chóralnym śpiewie. W *Paderku* zaś, gdy w szkolnym chórze śpiewaliśmy obowiązkowo hymn ZSRR w oryginale, tudzież np. *Szyrakastra* (*Sziroka strana moja rodnaja*...), jeden z kolegów upodobał sobie stać przy mnie w grupie barytonów twierdząc, że on jest *bary* a ja *ton*, więc miałem mu... w ucho śpiewać, on zaś swoim tubalnym, silnym głosem wszystko *nagłaśniał*.

Zawodowy „wójt" i epizod z rosyjską poezją

A lata gimnazjalne w *Marynce* świetnie się zapowiadały. Prefektem – ks. Leon Skórnicki. Ja zaś – *zawodowym* wójtem, seniorem klasowym. Nie byłem typem przywódczym, a jednak mnie wybierali. Dlaczego – *nie znaju*... Zdań rosyjskich nauczyłem się od żołnierzy rosyjskich, bowiem często gnieździliśmy się w strefie przyfrontowej. Później zaś zapisaliśmy się na dobrowolne lekcje języka rosyjskiego, a wielu z nas zauroczyła piękną rusczyzną i znajomością klasycznej literatury rosyjskiej nauczycielka, pani Nina Downarowicz. I tak już zostało: umiałem na pamięć wiele wierszy (nawet w tych czasach – żadnej ideologii komunistycznej!) przepisywanych z tablicy, bo podręczników nie było, a ona prowadziła kurs języka i literatury według własnej koncepcji. Nagle, gdy nadeszła rocznica wyzwolenia Pozna-

nia, zaczęto szukać uczniów znających rosyjski, by wystąpić na akademii w obecności generałów i oficerów sowieckich. Wydelegowała Wojtka Woźnego (uroczy, niezapomniany starszy kolega, z którym przyjaźniliśmy aż po czasy jego amerykańskiej specjalizacji ortopedycznej). On wygłosił wiersz Puszkina o ptaku zamkniętym w klatce – ja o łzach matki, opłakującej śmierć syna. Nie zapomnę wzruszenia (wszyscyśmy Słowianie...) i zaskoczenia generałów naszą rusczyzną i trafnymi tekstami. Uściski generalskie były *krepkie*!

Sport? Nie należałem do siłaczy

Sport? – Nie należałem do siłaczy. Próbowaliśmy z jednym z kolegów wczesnymi rankami wdzierać się na korty klubu *Warta*. Przepłacaliśmy stróża... Kolega zdobył gdzieś starą rakietę, a jedyna piłka też miała swoje lata, jak moja rakieta zdezelowana. Potrzebny był nowy naciąg, ale gdzie zdobyć w owych czasach żyłkę, by zrobić nowy naciąg? – Więc próby się skończyły. Za to wygrałem rower w loterii na odbudowę kościołów warszawskich. Co za szczęście! Jeździliśmy głównie ze Zdzichem Bernatem nad Rusałkę, do Kiekrza, bo tam były najlepsze ścieżki rowerowe. Samochód – moje nigdy niespełnione marzenie... Ojciec zawsze znajdował jakieś kontrargumenty, a głównym: *Nie masz prawa jazdy*, bo w końcu myślałem o zdobyciu motocykla – sławetnej SHL-ki, na którą starszy brat miał dostać tzw. przydział. Już sprzedałem rower w pierwszym nowootwartym komisie na ul. Paderewskiego. Byłaby pierwsza rata... Ale to prawo jazdy! Kupiłem książki, uczyłem się sam i zgłosiłem się do szkółki *Autoster*. Egzamin zdałem znakomicie – nawet egzaminujący zawstydzał starszych, że taki młody, a wszystko wie. Wykupiłem godzinną jazdę próbną za wyżebrane pieniądze – ojciec ciągle nie chciał słuchać o moich wyczynach. Egzamin praktyczny na motocykl zdałem – na jazdy szkolne samochodem nie miałem pieniędzy... Cóż, kiedy motocykl nie został kupiony. Za to udawało się od kogoś pożyczyć stare NSU i ciut jeździć z Jurkiem Czombikiem, później lekarzem, z którym do dziś wspominamy nasze gimnazjalne czasy.

Mądrzałem

Mądrzałem... Jedna z pierwszych lektur, to z biblioteki brata Zbigniewa *Sztuka myślenia* Dimneta. Pamiętam, że wypisywałem sobie co ciekawsze zdania, m.in.: *Nie czytaj dobrych książek –życie jest na to za krótkie. Czytaj tylko najlepsze!* A później gdzieś zdobyta w języku angielskim: *Human Destiny* Lecomte'a de Nouy. *Gryzłem* ją, by zrozumieć jak najwięcej i sobie zapisać. Rozumieć człowieka... Bardzo interesowała mnie psychologia, więc kupowałem sobie jakieś opracowania. Wzburzony bywałem na lekcjach komunistycznych indoktrynacji, zwłaszcza *Pomidora* (ze względu na duży, czerwony nos) nauczającego o Polsce i świecie współczesnym. Utkwiło mi w pamięci stwierdzenie: wiara ogranicza, zawęża myślenie. Zrazu nie mo-

głem sobie z tym dać rady, a długo trwało, nim doszedłem do skrajnie przeciwnego zdania i – *małej wiary, czemuś zwątpił?* – powiedzmy: niebania się o Boga – sam sobie *poradzi*... Muszę powiedzieć dziś, z perspektywy wielu lat, że proces dojrzewania w wierze ciągłe się rozwijał i pogłębiał. W latach gimnazjalnych zaś po lekcjach *Pomidora* często wprost po przyjacielsku rozmawialiśmy z Lewandowskim (nie pamiętam imienia: przyznawał się do swego robotniczego pochodzenia i biedy, czym się odróżniał od klasy przeważająco *burżujskiej*), który mnie przekonywał: słuchaj, zbudujemy nowy, sprawiedliwy ustrój. Nie był napastliwy: odczuwałem, że komunizm traktował tak, jak ja religię. Mnie zaś cenił, że go szanowałem, kolegowałem się z nim – w odróżnieniu od wielu innych. No, i ktoś inny spośród kolegów, później sławny, *wypominał* mi: tyś mną nie gardził, szanowałeś mnie i moje proste pochodzenie, czym byłem zaskoczony: ja tak tego nie traktowałem. Śmieszne może dziś, ale wtedy napięcia między przed i powojenną inteligencją a *dołami*, które zaczynały rządzić, docierały do dzieci.

To, co dziś nazywamy tolerancją

Dziś mógłbym powiedzieć, że już wtedy za rzecz normalną uważałem to, co dziś nazwiemy tolerancją: rozmawiałem – *od zawsze* do dziś – z każdym. Jak również nie uznawałem żadnych tematów za tabu, a wiele lat później nie wahałem się pisać o uznawanych za takie. Wypada dodać, że problemy indoktrynacji i wspomniane zawirowania w społeczności młodych łączyły się z problematyką wolności człowieka. Zniewolenie wojenne i powojenne, popularność egzystencjalizmu, zwłaszcza w literaturze, ewokowały burzliwe myśli, powracały później na polonistyce, rodziły niejeden raz ferment w moim myśleniu i chyba dobrze. Że i tu, w tym miejscu zostały wspomniane, bo reszta nadawałaby się do jakiegoś *pamiętnika duszy*.

Likwidacja „Marynki"

Nagle marynkarze przeżyli dramat: zabójstwo członka ZWM w zdewastowanym kościele bernardynów – prowokacja ciągle wyjaśniana... – stała się okazją do zlikwidowania reakcyjnego, jak mawiano, gimnazjum. Błąkaliśmy się, aż w końcu wcielono nas do gimnazjum im. Paderewskiego, gdzie sprawował swą dyktatorską dyrekturę komunista czeskiego pochodzenia – Dohnal. *Zdejm ten amulet. Wyglądasz jak św. Aleksy w gnoju* – mawiał wizytując lekcje gimnastyki. To znów: *Ducha Świętego nie ma, a te schowane ściągi nie pomogą, więc uczcie się!*

Małe Seminarium w Gorzowie i Jurek Ludwiczak

Zacząłem wypytywać się o tzw. małe seminarium. Najbliższe było w Gorzowie. Ciągle coś się we mnie świeciło... Gdy zdradziłem się z tym mojemu przyjacielowi, mieszkającemu u Wuja z Baranowa – ks. kanonika Baranowskiego, którego urokowi ulegałem odwiedzając Tadzia Jarosza mieszkającego u niego wraz z matką, odradzał mi: *Ty powinieneś być dyplomatą, a możesz przy tym być księdzem, bo w Watykanie też są księża*

dyplomaci. Oponował ks. Skórnicki, a ja jednak nie mogąc znieść atmosfery komunistycznego – już – liceum, zgłosiłem się do Małego Seminarium w Gorzowie. Pozostało piękne świadectwo za rok 1948/49 i – tyle. Niski poziom nauczania, swoiste otoczenie kolegów przesiedleńców z różnych stron Polski, choć z wieloma z nich zawiązały się przyjaźnie, a najtrwalsza z Jurkiem Ludwiczakiem, do dziś w żywym kontakcie telefonicznym i odwiedzinami w Warszawie, gdzie ma dorosłych synów, piękny domek i... wspomaga mnie i dobra radą, i... wieloma konkretami (Niech nie wie lewica, co czyni prawica!). Wraz z żoną są bardzo zaangażowani w ruch Rodzin Nazaretańskich, cieszą się z syna – księdza, a nasze rozmowy nie mają sekretów, choć jeszcze mu nie powiedziałem, co mi tkwi boleśnie w sercu, bowiem zapytała mnie wysoko postawiona osoba: *Samochodu jeszcze się nie dorobiłeś??* – Nie, nie dorobiłem się ani podczas niewielu lat pracy wikariuszowskiej, ani tym bardziej ze stypendium studenckiego, seminaryjnej pensji wykładowcy, ale doświadczałem namacalnych dowodów Bożej Opatrzności: wydawałem na pewien cel pieniądze, a tu nagle *wyrównanie* – niespodziewana pomoc, w tym ostatnimi laty od o. Richarda, niemieckiego kapucyna (intencje mszalne), z którym skontaktował mnie Stefan Stuligrosz.

Skąd tyle łaski?

Doświadczając nagle takich realnych znaków, wprost Bożych interwencji – niech się przyznam – klękałem dziękując Bogu: *Panie, ja jestem grzeszny, nie jestem godny... Skąd tyle łaski?* A jak wzruszające były datki od studenta, Jędrka, kopertki z sumką pieniędzy z napisem: *Danina na Czesinę*. W pewnym okresie także na ten cel jakaś pomoc od paru kolegów-księży, choć większość, do których zwracałem się w kryzysowych momentach – odmawiała: bo to, bo tamto, bo – owszem, słusznie, ale mają swoich biednych. By nie być *posądzonym* o świętość – choć spotkałem się z określeniem *święty albo głupi*, które nie robiło na mnie wrażenia! – muszę przyznać, że niejednokrotnie, mając dosłownie kilka złotych w kieszeni, byłem wściekły! A często skonsternowany, gdy miałem ochotę kupić sobie coś cenniejszego, bez czego można było się obyć – przeżywałem męki Tantala, gdy wstrzymywała mnie świadomość, że Czesino, w końcu póki dzieciak, cieszyłby się tym czy tamtym... A jeśli jednak kupiłem sobie np. niemiecką wodę po goleniu marki *Polo*, której zapach bardzo lubiłem, i tak smętek nie ustępował.

Jeszcze spojrzenie wstecz: „Służba Polsce"

Wracając do lat gimnazjalnych należałoby powiedzieć o 50 dniach lata 1948 roku w sławetnej *Służba Polsce*, które skończyłem w *randze* starszego szeregowca, bo dobrze strzelałem... Wywieźli nas do Warszawy, gdzie naprawialiśmy tory na zapleczu dworca towarowego na Pradze. Praca ciężka

i niebezpieczna, zwłaszcza dla mieszczuchów. Co gorsza, słabo żywieni, przemęczeni, w upale na otwartej przestrzeni piliśmy wodę przeznaczoną dla... lokomotyw. Na skutki nie trzeba było długo czekać, a jednak z komplikacjami żołądkowi niejednych – połowę kompanii przeznaczyli do pracy w Bolesławcu przy kopaniu fundamentów pod hale fabryczne. W drodze bractwo się rozchorowało – jedni ciężej, drudzy lżej. Ja z grupą kolegów wylądowałem zaraz w szpitalu: tzw. paratyfus. Trudno nie wspomnieć, że ciągle otrzymywaliśmy *masaż ateistyczny*, a przy tym wszystkim takie zdarzenie: w Warszawie spaliśmy w dużych namiotach wojskowych. Ponieważ moje leże znajdowało się w środku prawego rzędu legowisk, ktoś wystrugał krzyżyk i nad nim go przypiął. Gdy nadszedł dzień inspekcji obozu, kilku wyższych oficerów zatrzymało się mnie: *Zdejmijcie to, bo jakby każdy żyd czy muzułmanin sobie coś powiesza, to by było jak na choince. – Ja nie zawieszałem i sam nie będę zdejmował.* Niestety, nie pamiętam, jak to się skończyło...

1949/50 znowu w Poznaniu, w mojej klasie

W roku szkolnym 1949/50 znalazłem się znów Poznaniu, w mojej klasie, która w zasadniczym składzie zachowała się od czasów Marynki. Znów koledzy zrobili mnie wójtem budząc zdziwienie niektórych nowych nauczycieli, którzy mnie nie znali. Tylko jedna nowa nauczycielka nazywała mnie *jezuitą*... Przeżywałem głęboko poranne Msze św. odprawiane przez wikariusza, ks. Okoniewskiego: przy bocznym ołtarzu, ze wstępem, homilią, konsekracją Chleba, co dziś kojarzy mi się ze wskazaniami soborowej Konstytucji o Liturgii. Bliskie kontakty miałem z innym wikariuszem, ks. Abramowiczem, któremu ośmielałem się dawać duchowe *rady* odnośnie zbytniej troski o wyposażenie mieszkania itp.

Profesor Lehman, matematyk, który próbował wprowadzać zasadę oceniania przez głosowanie klasowej komórki ZMP, kiedyś mi powiedział: *Ty napiszesz na maturze poematy, ale matematyki nie napiszesz!* A napisałem dobrze – dzięki Bożej, nie ludzkiej pomocy, bo gdy ośmieliłem się szeptem pytać klasowego *matemiarza* o wyniki – podał mi inne, bo sam się pomylił. Humanistyczne – bardzo dobrze, nawet *angielka* dała *bardzo dobry*. Tak więc 28 maja 1951 roku otrzymałem świadectwo dojrzałości, a że w stalinowskiej szkole nie tylko musieliśmy się wykazać jakimś zaangażowaniem społecznym – prawie wszyscy *schowaliśmy* się do koła Przyjaźni Polsko-Radzieckiej – ale już publicznie, oficjalnie podać, co chcemy studiować, ja podałem: polonistyka, więc nikt niczego nie podejrzewał. A mój przyjaciel, Zdzisław Bernat: muzykologia. Okazało się, że te swego rodzaju prorocze decyzje, choć wtedy nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy – ziściły się później – razem na KULu: on na muzykologii, ja na polonistyce. Ale wte-

dy, razem do Seminarium! Tymczasem, gdy wróciłem do domu – ku mojemu zdumieniu – ojciec otworzył butelkę wina i zapytał, co dalej będę robił. Widać ciągle nie dowierzał temu, co na pewno do niego docierało.

Decydujący krok

1951 rok – wstępuję do poznańskiego seminarium. Spotkanie z ks. rektorem Wietrzykowskim. Powiedział ks. Leonowi Skórnickiemu, który jako prefekt przekazał swoją opinię, że zrobiłem jak najlepsze wrażenie. Pojadę do Gniezna, gdzie przez pierwsze dwa lata studiuje się filozofię razem z gnieźniakami – oba seminaria są jeszcze połączone. Z kapłaństwem kojarzyłem – a nawet wyobrażałem sobie, jak to ja będę robił – z posługą spowiadania i kazaniami. I to się spełniło! Spowiadałem czasem z łezką w oku, zawsze przeważała *ojcowska* zachęta, nadzieja, afirmacja – *pchnięcie* człowieka naprzód i w górę! Tak wyobrażałem sobie działanie łaski miłosiernej miłości Boga. Każdą spowiedź przeżywałem bardzo osobiście, nawet emocjonalnie, co mnie w jakiś sposób męczyło i sprawiało, że pójście do konfesjonału łączyło się z potrzebą *mobilizacji* psychicznej i duchowej, a nawet przezwyciężeniem jakichś oporów... Podobnie było i z kazaniami, ale tu, gdy z biegiem lat pogłębiała się znajomość porozumiewania międzyludzkiego, wyglądało to nieco inaczej. Czy tytuł jednego z rozdziałów teologii kaznodziejstwa *Chrystus nauczał z miłością* obejmowałby to, co tu nie bez oporów wyznałem?

Wakacje i ks. Innocenty Buba

Ale tymczasem wakacje! Główną atrakcją wyjazd do Krakowa – kilka dni u prowincjała pijarów, ks. Innocentego Buby. W odróżnieniu od czasów wojny – zawsze, wszędzie, nawet we własnym mieszkaniu chodzi w sutannie. Wiele rozmów. Sam jako historyk zakonu i pisze, i służy konsultacjami piszącym prace naukowe, bo wiele źródeł do historii szkolnictwa i działalności – nazwijmy – rzemieślniczej, u pijarów. Już mi napomyka o potrzebie dalszych studiów, nawet profesurze (później wracał do tego niejednokrotnie – jego kontakt ze mną i z braćmi nie ustał). Gdy odwiedziłem go wiele lat później, gdy miałem podjąć w seminarium homiletykę, powiedział, że najważniejsze jest *święcie nauczać*. Tak, tylko jak to robić, a tym bardziej uczyć tego... Zawsze byłem pod urokiem jego osobowości, acz teraz odsłaniającej się w innym kontekście czasowym i sytuacyjnym. Ascetyczna budowa ciała, jak zwykle, spokój na twarzy, zawsze delikatny półuśmieszek i spokojny, przyciszony tok mowy. I ogromna wiedza historyczna, polonistyczna, znawstwo sztuki. Zwiedzanie Krakowa z jego komentarzami, a przede wszystkim muzeów. Widziałem jego zauroczenia dziełami sztuki, które – wspominam z zażenowaniem – nie zawsze wtedy były i moimi...

A więc do Gniezna ale z poezją i teatrem

A więc do Gniezna! Na gnieźnieńsko-poznańskim pierwszym roku było nas chyba 134, z tego 36 przeszło po dwóch latach do Poznania (liczby, pamięć, to nie moje umiłowanie...), nowe znajomości, przyjaźnie. Tadziu

Różewicz, Antek Siemianowski – rozmowy, rozmówki i spotkania z poezją: siedząc gdzieś z dala od innych – czytywaliśmy tomiki poezji. I seminaryjny teatr: każdego roku przynajmniej jedna inscenizacja. Był to *Dzień sądu* Jerzego Zawiejskiego i *Tomasz Morus* Wojciecha Bąka. No, bywało się tym pierwszoplanowym aktorem! Po *Morusie* co prawda dostałem małe upomnienie od ks. rektora Pacyny. Woła mnie na korytarzu: *Królu, królu! Nie trzeba, nie, nie poklepywać królowej na scenie.* Moja wina: kolegę Bartkowiaka, który grał Annę Boleyn, faktycznie poklepałem, gdy kłanialiśmy się publiczności, wśród której na pierwszym miejscu siedział ks. Prymas Wyszyński – wielki promotor naszej kleryckiej działalności artystycznej, i właśnie chwalił go za umiejętność odegrania roli kobiecej. A że graliśmy w strojach z epoki, cichaczem wypożyczonych z Teatru Wielkiego w Poznaniu, a *dolnej garderoby* w tym zestawie nie było, trzeba było – pardon za przepraszam – uzupełnić własnymi pantalonami odpowiednio zszytymi tu oto tam. Tudzież, za radą księdza rektora, trzeba było tu oto tam umieścić osłony tekturowe, iżby nie upodabniać się do greckich posągów...

Ścienna gazetka seminaryjna... Robiłem ją m.in. ze Zdzichem Bernatem, *omnibusem świata tego*, jak go kiedyś nazwaliśmy, bo umiał i z benedyktyńską cierpliwością kreślić piękne litery. I to pochwalał Prymas, gdy odwiedzał seminarium, a ja mu robiłem zdjęcia. Na jednym z nich – wsiada do limuzyny – widać, jak ręką wskazuje na... *fotoreportera*. Powiedział mi wtedy: *A za to zdjęcie każę sobie zapłacić!* Natomiast do dziś się wstydzę, że po Mszy św., podczas której służyliśmy mu z ceremoniarzem, i po śniadaniu w pałacu, gdy klęknąłem – jak trza i trzeba – całując pierścień, nie domyśliłem się, że pochyla się nade mną, by pocałować w głowę, a ja się gwałtownie podniosłem. Skutek – oczywisty... Już nie wspomnę, że podczas tejże Mszy św. – tym razem nie w kaplicy pałacowej, a przy relikwiach św. Wojciecha w katedrze – pokazałem w mszale obowiązującą *oratio imperata*, on zaś zaczął sam wertować mszał – w tym czasie słyszałem syk kapelana, ks. Goździewicza: *Coś zrobił??* – i pokazał mi oracje *pro inimics nostris*.

Superschola. Kanonik Tłoczyński i Zdzich Bernat

Superschola, to była dwudziestka nas, wybrańców, śpiewających w chórze katedralnym pod kierunkiem ks. kanonika Tłoczyńskiego – wielkiego znawcy i interpretatora wielkiego repertuaru. Haydn, Schubert, Mozart... Niezapomniane wrażenia – ciekawa osobowość wielkiego konesera, tyle że niedzielne – a zwłaszcza w wielkie święta – Msze św. w katedrze, to... *wielkie koncerty*. A Zdzich Bernat, prowadzący nasz seminaryjny chór, nabywał wprawy pod troskliwym okiem kanonika. Mnie zaś, o dziwo, rektor, ks. Pacyna, zlecił przepisywanie na udostępnionej maszynie... wierszy z rękopisu Władysława Bąka – w tajemnicy! – przebywającego w zakładzie psychia-

trycznym w Gnieźnie. Potem większość z nich opublikował w tomie *Zastygłe chwile* (Poznań 1958).

Seminaryjna proza

A istota rzeczy – wyższe studia, głównie filozofia. Józek Glemp, o rok starszy – seniorem, ogłasza odpowiednie komunikaty – nic ciekawego. Truizm, ale sobie i innym mówiłem: filozofia jest... mądra, podobnie jak później tak naiwnie mówiłem o teologii. Urzekała logika myślenia, konstruowania myśli i argumentacji, wnioskowania. Byłem ich ówczesnym *fanem*, ale nie – paradoksalnie – koryfeuszem. Z zapałem słuchałem i czytałem o tym, co intrygowało, natomiast reprodukować całe traktaty, ogarnąć moją – co tu dużo gadać – nie najlepszą pamięcią i gorliwością, żądzą stopni, to już inna sprawa. Do tego odmierzany dzwonkami czas, a co gorsze – zamknięcie, co najdotkliwiej przeżywałem... Nadto zupełnie mi nieznane wtedy zastrzeżenia, obawy (?) o przyjaźnie młodzieńcze, *partykularki*, jak to wtedy tak czy inaczej nazywano... Wiele przyjaźni przetrwało do końca: niech wspomnę śp. Bolka Jurgę. Obok wielu funkcji, jakie potem spełniał, był i dyrektorem Księgarni Św. Wojciecha. Znałem jego rodzinę, omal wszystkie jego problemy, w tym także zdrowotne. Pozostały pamiątki, zdjęcia w rodzinnym Lasku i wspomnienia wspólnych wypadów *w Polskę*: miał samochód (ja... tylko samodzielnie zrobione w czasach gimnazjalnych prawo jazdy), ja zaś bardzo lubiłem przejażdżki. Wspomagałem go posługą słowa, gdy tak gorliwie pracował przemieniając kaplicę cmentarną na Jeżycach w parafię Dobrego Pasterza, i współprzeżywałem z nim cierpienia i kolejne operacje...

In confessione o. Leonard ks. Szymański ks. Woźny

Zawsze miałem swoich stałych spowiedników, zgodnie ze słusznymi zachętami duchowymi. Począwszy od karmelity, o. Leonarda w latach gimnazjalnych, przez ks. Szymańskiego w Gnieźnie po ks. Woźnego w poznańskim seminarium. Właśnie... ks. Szymański. Ostry, wysoki, piszczący głos, korpulentny, a na ambonie stawiający wielkie wymagania, stawiania sobie pytań o powołanie jakby podsuwając ciągle wątpliwości, co mnie deprymowało. Zwłaszcza pierwsze rekolekcje – pełen znaków zapytania, czy jest się powołanym. Było nas wielu – iluś od razu odeszło. Ze smętkiem wspominam tę atmosferę... A jednak jego wybrałem na stałego spowiednika do momentu, gdy poczułem się niewinnie skarcony. By nie tracić czasu na czekanie, wyznaczył każdemu dokładny czas podczas studium. Przyszedłem do kaplicy wcześniej – byliśmy sami. Widocznie poprzednik wcześniej skończył spowiedź lub nie przyszedł. Krępowało mnie to, że czeka, a ja się przygotowuję, więc może szybciej niż jego zdaniem trzeba było się przygotowywać, przystąpiłem do spowiedzi i od razu otrzymałem reprymendę i nakaz przyjścia do spowiedzi w wyznaczonej godzinie wieczorem do jego mieszkania. Czułem się niewinny! Poszedłem, odbyłem spowiedź i powiedziałem, że

to jest moja ostatnia spowiedź u niego. To, co nastąpiło dalej – zaskoczyło mnie: prawie z płaczem przepraszał, prosił, bym tak nie postanawiał: *Jesteś mój!* – w rezultacie to wszystko zbliżyło mnie do niego. Po latach, gdy jak dowiedzieliśmy się – ciężko chorował leżąc w swym seminaryjnym mieszkaniu, z największa chęcią ze Zdzichem Bernatem pojechaliśmy go odwiedzić i – jak się okazało – pożegnać na zawsze w największej serdeczności i przyjaźni.

Sutanna

I wydarzenie, które choć dotkliwe, jakoś spokojnie przeżyłem, choć dziś chętnie bym mu nadał jakiś symboliczny sens... Jechaliśmy grupą poznańską pociągiem pospiesznym do Gniezna wioząc – obok różnych bagaży – upragnioną, nową pierwszą sutannę, na którą ojciec wybierał najlepszy materiał, bo na początku drugiego roku miały być obłóczyny, tylko... nie moje! Przy wysiadaniu wyszedłem pierwszy i odbierałem walizki i bagaże kolegów. Pociąg szybko odjechał, a z nim moja sutanna! Mógłbym mieć pretensje do kolegów, którzy zbierali bagaże i podawali mnie stojącemu na peronie... O mojej sutannie w paczce – zapomnieli. Jeszcze nie traciłem nadziei: zawiadowca telefonował do następnej stacji. Niestety. Ani zaraz, ani potem nikt jej nie zwrócił.

„Siedź w kącie, a znajdą cię"

I tak gdy wszyscy mieli święcone sutanny i zaczęli w nich paradować – ja miałem tylko koloratkę. Dziś chętnie bym widział w tym zapowiedź przykrości, mniejszych i większych dramatów moich w kapłaństwie, mimo że moja modlitwa ciągle była – i jest – błaganiem o możliwość pracy zgodnie z moimi możliwościami, może innymi niż współbraci. Może i to się spełniło, jednak czuję, jakbym był outsiderem i nie zawsze, nie wszędzie mogłem je wykorzystać. Powiedział mi to także w pewnej chwili psychiatra, gdy pojawiły się pewne objawy przesilenia psychicznego i nerwowości. Nie byłem potrzebny, nie rozumiano mnie, sam zaś nigdy, nigdy nie starałem się być – powiedzmy – czyimś ulubieńcem, należeć do jakiegoś wpływowego grona, przypodobać się, zabiegać czy prosić o coś... *Siedź w kącie, a znajdą cię* – powiedział mi kiedyś ks. kanonik Jasiński, nie bez przyczyny... Natomiast niedawno pan S., prawnik i oddany Kościołowi działacz katolicki, starał się mnie pouczyć: *Księże, w Kościele też trzeba się rozpychać łokciami.* Mnie zaś satysfakcjonowała możliwość pracy na właściwym stanowisku, a pogodziłem się nawet z tym, że w gruncie rzeczy – poza krótkotrwałymi wyjątkami – nigdy nie miałem właściwych warunków mieszkaniowych.

Etap dwu lat w Gnieźnie się skończył. Na ostatnim *scrutinium* rektor pytał: *Jest, jest powołanie?* – Widząc moją zdziwioną minę, sam sobie dopowiedział: *Tak, jak Kościół powoła, to będzie, będzie.* I *Philosophicum.* 27 czerwca 1953 roku otrzymałem testimonium: jedynie dwie oceny *sufficit et*

melius oraz opinię rektora Pacyny: *ingenio bono preaditus, scientia bene instructus, diligens, affabilis, timidus, pius, honestus.*

Seminarium w Poznaniu

Etap poznański. My tutaj *nowi* – przedstawiono nam i nowych wykładowców, którzy właśnie podjęli pracę: ks. dr Marian Wolniewicz, ks. dr Michał Peter. Ale w Kościele to jeszcze nie był czas odnowy, o ruchu kerygmatycznym gdzieś tam napomykano. Wykłady bardzo cenionego i poważanego historyka – ks. prof. Józefa Nowackiego... Niestety – nam, klerykom, nie dawały jakiegoś ogólnego poglądu, a wprost porażały bezmiarem faktografii, więc naród klerycki ratował się wymienianiem powielaczowych notatek (z błędami!), co go bardzo denerwowało.

Nowacki Pawelczak

Autorytet wielki, ale dzieci i ryby nie mają głosu, więc ratuj się, kto i jak może. Z kolei ks. prof. Władysław Pawelczak – jak czułem – zaczął mnie uważać za potencjalnego prawnika, a że zawodziłem, nie strzelałem kanonami na egzaminie – podpadłem. I to tak dalece, że podczas wykładu dla trzech kursów, komentując kanony o stroju kapłańskim, pozwolił sobie na taką egzemplifikację, której trudno nie pamiętać: *O proszę, proszę – taki Grzegorski, chodzi sobie w jakiejś zielonej kurtce, a prawo mówi, mówi przecież jasno...* I tak dalej. W ten sposób została potępiona moja gimnazjalna tzw. kanadyjka – kurtka, którą jeszcze *donaszałem* tylko na obowiązkowe wychodne do ogrodu w zimne dni. Oczywiście to wszystko wyraziło się na końcu m.in. *dostatecznymi* z tych przedmiotów...

Baranowski

Natomiast wiele zawdzięczam ks. kanonikowi Baranowskiemu – moraliście. Jego interpretacja problematyki moralnej mnie urzekała swym *spokojem*, rozumieniem człowieka i... Bożego miłosierdzia. Tak wyobrażałem sobie terapeutyczne, *pociągające* działanie łaski. A od dawna znałem go osobiście: w jego kanonii mieszkał Tadek Jarosz (mój Przyjaciel, jak sam mawiał, przez duże *P*) ze swą matką, która kanonikowi prowadziła dom, w którym często bywałem zasiadając z nimi przy stole. Ojciec Tadzia, lekarz wojskowy, nie wrócił z wojny. *Wuj z Baranowa* (pseudonim, jakim sygnował swoje gawędy w „Przewodniku Katolickim") mieszkając z nimi w czasie wojny, ukrywał się w Poznaniu pozorując posiadanie rodziny. Po wojnie nadal traktował Jaroszów jak rodzinę, do czego i nas, kleryków, zachęcał: niechby proboszcz nie mieszkał sam i myślał tylko o sobie, ale znał i rozumiał życie rodzinne... Ceniłem też ks. Pawlaczyka, ojca duchownego. Jego poprosiłem o kazanie na prymicjach.

Mędlewski

Do grona szacownych, starszych wykładowców należał także ks. inf. Mędlewski, którego sztukę oratorską podziwiałem, a jego styl bycia nawet lubiłem – znów bez wzajemności. Nie znajdowałem uznania: *Tak można mówić do inteligencji...* – skomentował moja próbkę wstępu do kazania,

jaką każdy musiał przygotować. Inaczej byłem odbierany przez kolegów, a Wojtek Raczkowski nawet do dziś mi przypomina fragment kazania maryjnego wygłoszonego w kaplicy seminaryjnej. – *Szło nowe...*? Pan sprawił, że po śmierci infułata przyszło mi go zastąpić.

Dziasek

Śmieszne *spory intelektualne* miałem z vice rektorem – ks. Dziaskiem, który słynął z tego, że z ogromnym trudem zgadzał się na wyjście do miasta, by coś załatwić. Złamała mi się okularowa oprawka i prosiłem, by w sobotnie popołudnie wyjść do optyka. *W sobotę??* – Tłumaczę, że już będą w kolejności czekały na naprawę. *Niech to załatwi sklepikarz!* – nakazał. Tłumaczę, że to są skomplikowane szkła cylindryczne z odpowiednimi kątami itd. Nie ustąpił. – *Czy mogę pójść z tą prośbą do rektora?* – *Proszę bardzo.* Więc lojalnie, jak wypadało, wyjaśniam, że byłem u ks. vicerektora, że się nie zgodził na wyjście – i tłumaczę, o co chodzi. Nie zdążyłem dokończyć: *Idź, idź!* Ale po paru dniach woła mnie: *Ks. Dziasek ma do ciebie jakiś żal. Idź go przeprosić.* – *Za co??* – *Idź, idź.* Więc poszedłem: chodziło o to, że byłem taki pewny siebie, a przecież mogłem się mylić... Dzięki temu, że udało mi się sprowadzić dialog na temat omylności człowieka, w czym mu w pełni przyznawałem rację, samo sedno sprawy, co do której byłem przekonany, że mam rację – pozostało na uboczu. Nie mniej starałem się znaleźć jakieś motywy, które mogły być podstawą do przeproszenia.

Rektor Wietrzykowski „ostatni taki na Litwie

Rektor Wietrzykowski. Nasuwa się wiele wspomnień... Wydaje się, że mnie cenił. Pamiętam, że potrafił nawet zauważyć moje sfatygowane buty i posłał mnie do jakiegoś kleryckiego dobrodzieja – szewca, by mi za darmo zrobił nowe (zresztą jak na tamte czasy – piękne!) półbuty, z których byłem dumny. Nawet nagany przyjmowałem *in spiritu humilitatis et in animo contrito.* Kiedyś w niedzielne popołudnie, po godzinie wyznaczonej na spotkania z gośćmi w auli, poszedłem do pokoju kolegów podczas studium, by o coś zapytać, a oni mieli na stole jeszcze nie sprzątnięty karton po ciastkach. Nagle jedno mocne *puk* do drzwi i zjawia się rektor, i oczywiście do mnie: *Co tu robisz?? Jest studium.* Nawet nie pozwolił się usprawiedliwić – wskazał na drzwi. Wieczorem, gdy wracałem z kaplicy, stał na korytarzu: *No i co?* – *Nawet ciastka nie spróbowałem, bo już wszystko zjedli, a ja chciałem zapytać...* – *Dobrze, ad faciendam humilitatem. Idź spać.*

Wiele mu zawdzięczam

Ceniłem go – także z perspektywy lat: to był prawdziwy wychowawca, *ostatni taki na Litwie.* Wiele mu zawdzięczam! Choć deprymująco, nerwowo odbierałem jego bezkompromisowe wołanie *agere contra* z pukaniem w ambonkę podczas egzort, to jednak dzięki jego emanacji jakąś duchową euforią, ukierunkowanie ku kapłaństwu, radości służenia innym i samozaparcia (stąd moja myśl przy subdiakonacie: *in simplicitate cordis laetus*

obtuli universa, a psalmiczne *Moim pokarmem jest pełnić wolę Twoją, Boże* odtąd na zawsze stało się zasadą mojego życia i ostateczną konkluzją każdej modlitwy błagalnej) – jemu zawdzięczam, a wiele okazjonalnych powiedzeń pamiętam do dziś. *Najpierw trzeba obsłużyć Pana Boga* (powiedzenie Joanny d'Arc) – takie wskazania dawał, zapamiętane do dziś, by najpierw był brewiarz. Gdy wracałem z parafii, gdzie głosiłem kleryckie kazanie pasyjne, stał przy furcie nawiązując omal z każdym krótką rozmowę. Dostrzegając moje zadowolenie, zacytował mi: *Słudzy niegodni jesteśmy...*

W swoim czasie wyznaczył mi obowiązek organizowania imprez kulturalnych, spotkań z różnymi osobistościami. O jego elastyczności i rzeczowości świadczy i to, że... podczas rekolekcji ktoś przyszedł omówić ze mną swoje spotkanie. Ja oczywiście do rektora o pozwolenie rozmowy z nim. No, był przy tym ksiądz Dziasek, który od razu wybuchnął: *Co?? Podczas rekolekcji? – Idź, idź – załatw*, a zdumionemu vice rektorowi zaczął potem coś tłumaczyć. Nadszedł i dramatyczny moment. Wezwał mnie i powiedział: *Arcybiskup Dymek został zaproszony przez władze do auli uniwersyteckiej na akademię z okazji rocznicy wyzwolenia Poznania. On nie pójdzie, a ja mu powiedziałem, że sami zrobimy u siebie akademię i też zapraszamy. Poradzisz przygotować na pojutrze?* – Pamiętam, że ze Zdzichem Bernatem wymyśliliśmy odpowiednią dekorację na podium auli, a z programu akademii, że ogromne wrażenie zrobiło powolne czytanie nazwisk poległych pod cytadelą Polaków – to wyraźne, to zanikające, by była słyszalna tylko żałobna muzyka Chopina... Obok tego wznawialiśmy w wersji słuchowiskowej gnieźnieńskie przedstawienia, ale i inne, skeczowe. Wszystkiemu my właśnie nadawaliśmy *ton*. Kiedyś czytałem jakiś skecz – *rozmowę telefoniczną*, w którą włączał się Zdzichu powtarzanymi co pewien czas słowami: *Proszę Piusa, proszę Piusa!* Sytuacja była tak śmieszna, że... Bernat nie wytrzymał i sam zaczął się śmiać. Klerycka brać wybuchnęła gromkim śmiechem raczej jemu wtórując.

„Ty musisz robić coś specjalnego"

Sobie – ja – tak – myślę, że rektorowi Wietrzykowskiemu zawdzięczam dalsze ukierunkowanie mojej posługi w Kościele. Najpierw: rozpoznał mnie i zrozumiał... *Ty jesteś mimoza* – słaba odporność psychiczna na stresy. *Fruwałem* wysoko, a jak mi podcięto skrzydła – a podcinano, podcinano... – spadałem (ks. Woźny, mój spowiednik, powiedział kiedyś – niech mi będzie wolno to wyjawić – że będę szedł w kapłaństwie po linie, jak linoskoczek). *Ty musisz robić coś specjalnego, ale najpierw na parafię*. Jeden nurt, to sygnały o studiach specjalistycznych (w owym czasie, przy arcybiskupie Dymku, potem Baraniaku, spełniał rolę specyficznego suflera podpowiadając, co byłoby potrzebne w Archidiecezji, kogo z młodych i jak wykorzystać).

Z Bogdanem Snelą zainicjowaliśmy opracowywanie kleryckiej gazetki ściennej, której dałem tytuł *Refleksy*, i tamże umieszczałem intrygująco, swoiście opracowane – także w pierwszym roku kapłaństwa, owej jakże radosnej *wiośnie* kapłańskiej – literackie reportaże. To są autentyczne zapiski przeżyć z lat kleryckich, a przede wszystkim pierwszego roku kapłaństwa, które i dziś z postrzępionych foliałów powielaczowych czytam nie bez wzruszenia: *Drugi lipca*, *Konfesjonał*, *Jutro wotywa do Niepokalanego Serca*, *Byłeś wtedy*, *Aeternorum meditatio* – i wiele, wiele innych, najczęściej nie podpisanych. Okazało się, że i to skłaniało rektora do myślenia o mojej... polonistycznej przyszłości. Kiedyś wprost mi powiedział: *Polonista jest potrzebny Archidiecezji, także do objęcia* „Przewodnika Katolickiego". *Nikt nie jest wieczny.* Oraz: *Czym ty naraziłeś się ks. Mielińskiemu, że nie chce o tobie słyszeć ani czytać twoich artykułów?* – Dalibóg – nie wiem... Mogłem się tylko domyślać. Więc wymyślił inny trop: *Kochasz młodzież. Chcesz do nich wrócić? – Będą potrzebne studia.* Ten zaś wątek łączył się z innym: moim wyprawami, wycieczkami, obozami z młodzieżą.

Kajaki, reportaże

W okresie seminaryjnym zaczęły się spływy kajakowe, którymi bardzo się interesował: Drwęca, Drawa, Brda – w czwórkę dwoma kajakami. Znów pisemne relacje, masa zdjęć (komunistyczne, harcerskie „Na Przełaj" nie wiedziało, że wysoko nagradza ilustrowany zdjęciami reportaż księdza!), wizyty u arcybiskupa Baraniaka – jego poparcie i pomoc... Potem rowerami wzdłuż wybrzeża od Szczecina do Władysławowa, po Mazurach, ale teraz z młodzieżą licealną i... bratankami ks. kan. Reitera, wielkiego przyjaciela rektora. *Zabierz jego dwóch siostrzeńców, Nowaków...* I tak zaczęła się historia moich eskapad z młodymi (w tym dramatycznych inwigilacji milicyjnych, trudami zdobywania sprzętu, wyżywienia), w które włączali się Anzelm Weiss, Andrzej Czerniak, Sergiusz Borszczow i inni, a zawsze Adam Przybecki i inni licealiści – potem *ojcowie dzieciom*, jak Andrzej Skrzypek z Gdańska, dla którego dzieci zostałem na dobre wujkiem.

Różne perypetie

Ponieważ wspomniałem o *milicyjnych* kłopotach, czemu nie wspomnieć i o *kościelnych*? – Podczas studiów na KUL wakacje także z młodymi. Zmówiliśmy się z paru kolegami, że przecież można otrzymać pozwolenie na Mszę św. polową... Napisałem podanie do naszej kurii: odpowiedź negatywna – tylko podczas odpustu ze względu na dużą ilość wiernych. Koniecznie na kamieniu z relikwiami, a ołtarz w oparciu o budynek. Postarałem się o relikwie, a razem z kolegami napisaliśmy zbiorcze podanie do Warszawy. Przyszło pozwolenie 24 kwietnia 1964 – *Decretum* podpisane przez Księdza Prymasa Wyszyńskiego: *Susceptis precibus sacerdotis Zdzislai Grzegorski ex Archidioecesi Posnaniensi... benigne concedimus... tempore excur-*

sionum cum iuventute, celebrare possit. Następnego roku – podobnie i... *bomba*! Okazało się, że jakiś kościelny urzędnik napisał coś do kurii poznańskiej, a ja otrzymałem reprymendę od arcybiskupa Baraniaka: przynoszę wstyd Archidiecezji – nie znam się na prawie kanonicznym i te de, i te pe. Nie wspomnę już o przestrogach prof. Stefana Sawickiego: księże, ja też byłem harcerzem, pracowałem z młodzieżą, ale zorientowałem się, że tego nie można połączyć z pracą naukową. Nie marnować swoich szans – ostrzegał. Na próżno... Ale to wszystko mogłoby stanowić odrębną opowieść, bo i tak mógłby ktoś z czytających zapytać: *quid hoc ad??*

Introibo ad altare Dei

Więc wróćmy do wielkich dni święceń, poprzedzonych praktyką diakońską w Chwałkowie Kościelnym, gdzie ks. Rozdrażewski – gorliwie głoszący *kazanko* na Mszach w dzień powszedni, co podziwiałem – praktykując i na mnie swoje *psychologiczne hobby*, zmierzył czaszkę, poprzeliczał i wydał wyrok: zmieszanie typów charakterologicznych z przewagą elementu *rozumowego*. Wreszcie aprobaticum 25 maja 1957 z ogólnym wynikiem bene. Święcenia 30 maja – udzielał po śmierci arcybiskupa Dymka wikariusz kapitulny, biskup Franciszek Jedwabski. Była to uroczystość Wniebowstąpienia – dla mnie wiele mówiące święto: teraz ja – spełnianie tego, co Pan zlecił. No cóż, wzniosłe, wielkie, przeplata się z ziemskim, *małym*... Mieszkając po wojnie przy ul. Dzierżyńskiego (dziś znów Górna Wilda), należałem do parafii Bożego Ciała, gdzie proboszczował ks. Smorawiński, niełatwy w kontaktach... Ja zaś byłem zżyty z ks. Leonem Skórnickim, moim *odwiecznym* prefektem. Poprosiłem, by wyjątkowo on mógł być moim manuduktorem. Była zgoda – a potem wiele uszczypliwości, przykrości. – Najgłębiej przeżyłem moment stanięcia przed ołtarzem: *Introibo ad altare Dei... Confiteor...* – i łzy wzruszenia, poczucie niegodności. Tak! – Skromne przyjęcie w domu rodzinnym. A wracając z kościoła, blisko domu, spotykam chłopca idącego z matką. I słyszę jak mówi do niej, wskazując na mnie: *Patrz, idzie Pan Jezus!* – W takich chwilach człek skłonny jest pewnym szczegółom przypisać głębsze znaczenie...

Wikariusz w Kępnie

Powołujemy Księdza z dniem 1 lipca 1957 roku na stanowisko wikariusza przy kościele parafialnym w Kępnie – pierwsze słowa dekretu podpisanego przez wikariusza generalnego, ks. infułata Marlewskiego. Pierwszy dekret, pierwsza, niezapomniana placówka – wikariat w Kępnie. Proboszcz zażyczył sobie zmiany całego kompletu wikariuszy i danie trzeciego, a za takiego potem uznano mnie. Współbracia, to niezapomniany Jasiu Ćwiejkowski i Stefan Naskręt. Moja...*wiosna kapłańska*! Piękny kościół, wiele pracy, akcji duszpasterskich, słynący z gorliwości proboszcz – ks. Marian Magnuszewski, omalże *patriarcha* kępiński. Od września 1957 roku powrót

religii do szkoły – mnie przypadła *stalinowska*, jedyna w mieście szkoła Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, która teraz też musiała przyjąć nauczyciela religii. Niezapomniane, jeszcze wakacyjne spacery z proboszczem, zapoznawanie z ludźmi, długi wieczorny pobyt na cmentarzu i proboszczowskie, duszpasterskie wspomnienia o tej części parafii, którą przeprowadził już na *drugą Stronę*. Dużo spowiedzi (proboszcz pierwszy w konfesjonale, wychodził jako ostatni, a nam odczytywał ze swojego stopera, ilu spowiedzi wysłuchał...), akcji duszpasterskich, troski o chorych. Probostwo – dom otwarty: ciągle wizyty jakichś oficieli, często wstępowali na popas *jadący w pąć* do Częstochowy. Dwie siostry boromeuszki dwoiły się i troiły przygotowując nie byle jakie poczęstunki, my zaś z ks. Stefanem Naskrętem zaczęliśmy praktykować abstynencję od napojów alkoholowych, zaczęła się bowiem Wielka Nowenna i apele Episkopatu o to. Gdy kiedyś wstąpił i wikariusz generalny, ks. infułat Franciszek Marlewski, po przyjęciu zechciał zobaczyć, jak mieszkają wikariusze. Wszedł i do mojego pokoiku na poddaszu, i potem chwalił mnie za... książki, które przeglądał.

Nadeszły przygotowania do srebrnego jubileuszu kapłaństwa. Koledzy mnie wyznaczyli do przewodniczenia komitetowi parafian, co okazało się trudne: co innego samoświadomość swej roli duszpasterza, opinia, adorowanie przez grono parafianek, a co innego głosy zebranych na narady, swobodnie wypowiadających się, co przyjmowałem z zażenowaniem. Podpytywałem dziekana, co zechce przyjąć od parafian. *Nic dla siebie – niech coś będzie dla kościoła.* W końcu zgodził się na telewizor i – co było najtrudniejsze, mimo że na takie jego dictum komitet domagał się tego – na radiofonizację. Udało się to przeprowadzić, mimo że cichaczem grono pań zakupiło futro buntując wielu, by nie wpłacali na nagłośnienie, co z kolei było okazją do dalszych komplikacji...

Wikariusz w Czarnkowie „Tu z Magdaleną będę pokutował".

4 sierpnia 1958 roku przyszedł dekret: od 1 września wikariat w Czarnkowie – odtąd w Kępnie znów tylko dwóch wikariuszy. Ja zaś – nie taję – z radością po kilku latach, gdy odwiedziłem ks. Magnuszewskiego, spełniłem jego prośbę i zostałem do niedzieli, by wygłosić kazanie i ogłosić jego nominację prałacką.

Czarnków... Parafia pw. Św. Marii Magdaleny: *Tu z Magdaleną będę pokutował.*. Nie wiedziałem, że nadszedł czas próby. Zajechawszy, poszedłem najpierw do ks. kanonika Thiela. Zadzwoniłem do drzwi *zadbanego* probostwa. Uchyliła drzwi jakaś dystyngowana pani: *Ksiądz kanonik jest zajęty. Proszę zająć pokój oto tam, na wikariacie.* Zapoznałem się z siostrami służebniczkami i uśmiechniętą, odtąd zawsze życzliwą s. Szymoną. Będę mógł u nich się żywić, bo drugi wikariusz jada na probostwie. Gdy go wieczorem

spotkałem, nieopatrznie zapytałem, kiedy będę mógł rozmawiać z proboszczem i kto to jest ta pani, która mi otworzyła. – *Co cię to obchodzi??* Nie omieszkał to powtórzyć kanonikowi, który... – pomińmy ciąg dalszy!

Odtąd żyłem *sam wśród ludzi*... Pióra już nie wziąłem do ręki (maszyny do pisania się nie dorobiłem). *Inter arma silent Musase.* Czas intelektualnej inwolucji: książki, niemi świadkowie moich doświadczeń, leżały w pokiereszowanych kartonach (nie było gdzie je umieścić). Jedyny znak kępińskiego dobrobytu – najnowocześniejsze radio NRD-owskie z czterema głośnikami (owoczesne *stereo*), teraz z zażenowania najczęściej milczało. Kolega wikariusz ciągle na probostwie, z kanonikiem okazjonalna wymiana zdań przy drzwiach, w zakrystii – szybko, krótko, ciągle dowiadywałem się, że jest zajęty, a zadania napisane na karteczce ktoś mi podrzucał. Otrzymałem 36 lekcji religii, z tego najwięcej w dwóch wioskach, do których dojeżdżałem zdezelowanym, starym simsonem – psującym się w drodze motorowerem. Gdy jesienią i zimą wracałem nad wieczorem – a więc i w deszczu, śnieżycy – zastawałem karteczki z adresami chorych, gdy mi przypadał dyżur. Zauważałem niesprawiedliwy podział obowiązków i... wynagrodzenia. Tradycyjna wizyta w kurii po objęciu stanowiska była ciągle odkładana, mimo moich próśb o pozwolenie na wyjazd do Poznania.

Pokochałem te wiejskie, często biedne dzieci

Pokochałem te wiejskie, często biedne dzieci. Przydało się kępińskie rozśpiewanie, znajomość wielu nowych, regionalnych (śląskich) pieśni, których ich uczyłem. Wymyślałem pomoce katechetyczne, głównie sam malując i rysując na tablicy, co polubili. Przesiadywałem w konfesjonale. Pomaganie innym, współprzeżywanie ich problemów pomagało zapominać o własnych. Coraz częściej spowiadałem zakonnice. A tym bardziej, gdy – taki młody... – zostałem spowiednikiem zwyczajnym Sióstr Benedyktynek Samarytanek Krzyża Chrystusowego na okres trzech lat dekretem z dnia 27 listopada (rok 1958). Co tydzień wynajmowały taksówkę, by wieczorem przyjeżdżać do ich uroczej, acz biednej i prostej, benedyktyńskiej w wystroju kaplicy. Półmrok kaplicy, tylko jaskrawa czerwień wiecznej lampki. Tych cichych, spowiedniczych godzin nie potrafię zapomnieć! Czułem się tak blisko Boga... Wspomagały mnie listy młodszych współbraci, z którymi w czasach kleryckich robiliśmy wyprawy kajakowe, rowerowe, a więc wieloletniego przyjaciela, Piotrusia Sieberta, a szczególnie zapamiętałem jeden bardzo obszerny, znaczący – napisał mi go Boguś Snela: głęboka teologicznie egzorta z przyjacielskim oddaniem i modlitwą.

Zacząłem chorować starając się to ukryć. Chciałem pojechać do kurii. *Tak, ale najpierw ja pojadę* – powiedział mi kanonik. Spuśćmy zasłonę... 28 grudnia wysłałem prośbę o urlop zdrowotny. 9 stycznia 1959 roku le-

karz był wzburzony – stawił mnie przed komisję lekarską (patrzę na zaświadczenie o czasowej niezdolności do pracy – podpisani: lekarz medycyny A. Sobczak i dr J. Mikołajczyk). Prosiłem, by złagodzili treść zaświadczenia, bo mogą mi zaszkodzić miast pomóc. – *Wzmożona pobudliwość układu nerwowego o cechach dystonii; objawy nerwicy układu krążenia, szczególnie serca. Zalecenia: zmiana środowiska życia i pracy, konieczny jest fizyczny i psychiczny odpoczynek, by nie dopuścić do pogłębienia się objawów chorobowych.* Zaświadczenie zachowałem dla siebie (może je później pokazałem?), bo właśnie nadeszło pismo z kurii datowane 7 stycznia: urlop zdrowotny od 15 do 31 stycznia. Podczas niedzielnej Mszy św., którą odprawiałem, kaznodzieja ogłosił: *Ks. Grzegorski od jutra będzie chory i pojedzie na odpoczynek* (po roku, podczas rekolekcji kapłańskich, przeprosił mnie). Siostry służebniczki skierowały mnie do swojego domu w Zaniemyślu. Dzięki Bogu i życzliwym ludziom 22 stycznia dostałem dekret: od 1 lutego 1959 roku wikariat w Poniecu. *Powrót do normalności...*

Wikariusz w Poniecu. Powrót do normalności

Proboszczem schorowany ks. Koszewski. Zamartwiając się wzrastającymi podatkami, często gładził się po swojej łysinie, coś tam na głowie skubał mrucząc: *Dobiją nas finansowo, dobiją nas finansowo.* Kochany Rysiu Rossa, współwikariusz – z nim *ciągnęliśmy wóz* parafialnej pracy. Acz... ciut narzekał, że ciągle quasi-masło – więcej pospolitej margaryny w nim domieszanej niż masła... – co denerwowało proboszcza. I tak to siadywaliśmy wszyscy razem do jedzenia w jedynym używanym przez niego pokoju jadalnio-sypialnianym, no – towarzyszył zawsze duży pies, ulubieniec proboszcza. Żyliśmy bardzo skromnie. Atmosfera rzeczowa, *bezproblemowa*, a pracowaliśmy bez żadnych zadęć, napięć – każdy robił swoje. Człek psychicznie odpoczywał. Obsługiwaliśmy mały szpital, a jednak zdarzały się tam ludzkie tragedie, przywożono ofiary wypadków drogowych, przy pracy w zagrodzie i na roli... Służyliśmy posługą szpitalnym siostrom szarytkom – często prosiły mnie o spowiedź. Mnie dowozili na lekcje do dwu wiejskich szkół pojazdami konnymi, z tym, że frajdę miałem, gdy z PGR-u przysyłali dwukołowego – jak to nazywali – *dokarta* z rasowym konikiem, który biegł bardzo szybko poruszając rytmicznie wzniesioną głową. Ja, mieszczuch, nie mogłem się napatrzeć na tę piękną, zda się dumną sylwetkę tego zwierzęcia.

Poniec – normalna praca i życie, a zbliżał się czas dalszego dojrzewania kapłańskiego. Gdy po Mszy św., podczas której żegnałem się z parafią, wychodziłem z kościoła, poczułem w podanej mi czyjejś ręce pieniążek – jak potem zobaczyłem: cenna złota moneta...

Nie pamiętam, kto mi doradził, by mimo wszystko powrócić do dawnych... *snów o potędze* i starać się o zgodę na studia specjalistyczne.

W moich teczkach z *nova et vetera* jest list arcybiskupa Baraniaka z 9 czerwca 1960 roku: *Prośbę księdza o umożliwienie wyższych studiów z dziedziny polonistyki przyjąłem z szczerą radością. W naszej Archidiecezji odczuwamy wielką potrzebę kapłanów specjalistów w różnych dziedzinach wiedzy; dlatego leży mi bardzo na sercu sprawa przygotowania przez umożliwienie im wyższych studiów uniwersyteckich. Jednakowoż w tej chwili potrzeby diecezjalne wymagają, aby Ksiądz p o z o s t a ł jeszcze jeden rok na powierzonym sobie odcinku pracy duszpasterskiej. Proszę ponowić prośbę o studia na wiosnę przyszłego roku, a ustosunkuję się do niej z pełną życzliwością.*

Górczyn czyli ks. kanonik Jasiński

A jednak za Bożym, opatrznościowym zrządzeniem z dniem 1. września tegoż roku przeniesiono mnie do parafii św. Krzyża w Poznaniu na Górczynie, by – jak mi wytłumaczono – intensywniej myśleć o studiach, ja zaś bym powiedział: abym spotkał na swej drodze życiowej Kapłana – drogiego ks. kanonika Józefa Jasińskiego, który stał się dla mnie wzorem postawy kapłańskiej. Chętnie bym powiedział – razem z jego ówczesnymi i późniejszymi wikariuszami – biblijnie: Wszyscyśmy z niego. Ks. Aleksy Stodolny, Janusz Szajkowski, Władysław Płóciennik... Jeszcze długo wspominaliśmy lata naszej pracy, tym bardziej, że z Władziem przyjaźń utrwaliła się na długie lata, tak że odkąd został proboszczem w Kaszczorze, gdzie często bywam z posługą czy tylko wizytą, a od niepamiętnych lat każdego roku prowadzę procesję Bożego Ciała, głoszę świąteczną homilię, więc okazji do powtarzania powiedzeń, przypominania sobie kanonika, jest wiele. Ja zaś sam jeśli nie fizycznie, to duchowo bywałem myślami na Górczynie, a ściślej: przed studiami na KUL – w czasie studiów, gdy na przerwy wakacyjne przyjeżdżałem do zarezerwowanego mi pokoju i włączałem się w niektóre obowiązki duszpasterskie (prosił mnie zwłaszcza o kazania, które zawsze potem komentował...) – później, gdy głosiłem tam rekolekcje, okazjonalne homilie. Może więc odwrócić styl tych zwierzeń i zacytować jego późniejszą opinię dla kurii (z września 1967), której brudnopis mi dał, a był zawsze bezkompromisowo szczery, otwarty, pokorny: przepraszał, gdy zdarzyło się zdenerwowanie, prosił o spowiedź... Pisał wtedy o mnie: ... *W czasie wszystkich wakacji przebywał na Górczynie, gdzie gorliwie pomagał. Życie kapłańskie prowadził wzorowe. W pożyciu zgodny i kulturalny. Lubił konfesjonał. Kazania jego były mądre i sugestywne. Chociaż głos ma niezbyt silny, chętnie był słuchany. W katechizacji wykazywał dużo inwencji, uczył poglądowo, ożywiał lekcje śpiewem, na tablicy dużo rysował i żądał, by dzieci prowadziły estetycznie zeszyty. Potrafił utrzymać karność. Był lubiany i szanowany. Wszelkie obowiązki spełniał chętnie i gorliwie.* – A ja bym dodał: opiekował

się ministrantami, z niektórymi pozostały *odwieczne* przyjaźnie, wycieczki (Adaś Przybecki, Jędrek Skrzypek – jeden potem księdzem, drugi przykładnym mężem i ojcem), a nic nie uchodziło uwadze kanonika – zaglądał, wprost b y ł wszędzie, żył dla ludzi, dla parafii. A jeśliby dokonać wolty czasowej, to w maju Roku Jubileuszowego zaczepiło mnie na ulicy małżeństwo w średnim wieku: *Wawrzyniakowie, ksiądz nas pamięta? Byłem ministrantem, uczniem księdza za życia kochanego kanonika...* – ciąg dalszy mniej więcej jak... w powyższej opinii.

Ale nie zapominajmy – to były czasy komunistycznego zniewolenia! Najpierw tragikomiczny epizod: po kazaniu w kościele małe zamieszanie, a gdy wróciłem do zakrystii, kilku zdenerwowanych ludzi wprowadziło zapłakaną kobietę z oburzeniem pokazując mi jakiś notes: *Tu, tu spisywała kazanie. Wiadomo, dla kogo! – Ja przecież dla siebie, czego oni chcą ode mnie?* Ale udało się w sposób *Bożoludzki* czyli... *po Jasińskiemu* wszystko załagodzić. Mógł być to refleks bardziej kontrowersyjnej sprawy: faktycznego oskarżenia mnie w Wydziale ds. Wyznań o kazanie z 17 września 1961 roku w górczyński odpust Podwyższenia Krzyża.

Wiele hałasu o nic

Wiele hałasu o nic... Pisma urzędowe wydziału, kurii, przepytywanie kan. Jasińskiego i różne groźby. Może szkoda czasu i miejsca na relacje o tym wydarzeniu? – Więc pokrótce. Pisze mi ks. Jasiński do Lublina (18 X 1961 r.): *Gdy chodzi o 17 IX, to jest protokół w urzędzie, sporządzony przez pana w kurtce. Gdy mnie wezwano, wyraziłem zdziwienie. Oświadczyłem: tam nic takiego nie było. O Greiserze i okupacji nie mówił. Ostatecznie otrzymałem upomnienie za tolerancyjny stosunek do wikariuszy oraz zagrożenie, że zastosuje się ustawę o obsadzaniu stanowisk duchownych, jeśli to się powtórzy...* Tymczasem ja dostałem odpis ich pisma do kurii z dnia 12 X br.: *Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Poznaniu – Wydział do Spraw Wyznań zawiadamia zgodnie z art. 57 paragraf 3 kodeksu postępowania administracyjnego, że w dniu 7 października 1961 r. zostało wszczęte z urzędu postępowanie w sprawie szkodliwej dla Państwa działalności ks. Zdzisława Grzegorskiego, wikariusza parafii pw Św Krzyża w Poznaniu.* I cisza... Następne pismo wydziału do kurii z dnia 7 grudnia miało dwie strony i zawierało na początku powtórzenie poprzedniego z dodatkiem: *Wydział zwraca się o wydanie stosownych zarządzeń w sprawie szkodliwej dla Państwa działalności ks. Zdzisława Grzegorskiego...*, co za parę dni przysłała mi kuria... *z prośbą o udzielenie wyjaśnień na czynione zarzuty*, i to spiesznie! Tymczasem za radą wielu, by samemu się ratować – właściwie list kurialny to potwierdzał – wysłałem już 12 grudnia 1961 roku list do Edmunda Kędzierskiego, kierownika wydziału: dotąd milczałem, bo nie czułem się

winnym, i sądziłem, że sprawa będzie badana, bo chyba wydziałowi nie zależy na posądzaniu obywateli o wrogość, skoro sam tego nie oświadczałem i nikt mi tego nie udowodni, a opaczne zrozumienie przez kogoś mojego kazania też nie stanowi dowodu. Oskarżenie uważam za krzywdzące. Kazanie, którego tematem był Krzyż – temat o dużym ładunku emocjonalnym – najwyraźniej zostało źle odczute przez informatora z pozycji ateisty: *Zapamiętane fragmenty jakoby moich zdań, podane w uzasadnieniu – do których nie mogę się w pełni przyznać – dają fałszywy obraz całości. – Golono! – Strzyżono!!* Sprawa zakończyła się odpowiedzią wydziału, choć – przypadek?? – bez stempla i podpisu Kędzierskiego z dnia 9 lutego 1962 roku: ...*Decyzja tutejszego Wydziału nr Wz II-4/107/61 z dnia 7 grudnia 1961 roku wydana została na podstawie sprawdzonych informacji i jest w pełni uzasadniona.*

Studia polonistyczne

21 marca 1961 roku dostałem dekret od arcybiskupa Baraniaka – zwolnienie z obowiązków duszpasterskich od 31 sierpnia – skierowanie na studia polonistyczne: *Zechce ksiądz poczynić jak najwcześniej starania o przyjęcie na Katolicki Uniwersytet Lubelski oraz zapewnić sobie miejsce w tamtejszym internacie dla studiujących kapłanów Wszelkie zaświadczenia, wymagane przez władze uniwersyteckie, wystawi Księdzu Kuria Metropolitalna. Ona również ustali wysokość stypendium diecezjalnego na okres studiów. Na trudy znojnej pracy naukowej Drogiemu Księdzu serdecznie błogosławię...* No, faktycznie: tyle lat od matury i *przykurzonej* wiedzy – teraz trzeba było wszystko odświeżyć, co w momencie zgłoszenia się prodziekan, prof. Starnawski (odkryłem potem *wyriezane* nożem na studenckiej ławce: *Nudy nad nudami – Starnavianus z nami!*, wykładał bowiem... detalicznie literaturę staropolską) obawy pedagogicznie skwitował: *Audaces fortuna iuvat.*

No więc owe różne starania, przygotowywanie się do egzaminu wstępnego na wydział, który jak wyspa, utrzymywał się dzięki wysokiemu poziomowi i wspaniałej kadrze byłych wileńskich profesorów, a i tak bywał szykanowany, ograniczany (uprawnienia tylko do nadawania tytułu magistra, a za moich czasów jednak zlikwidowano neofilologię, gdzie z własnego zainteresowania zaglądałem). O ile kościelne wydziały jakoś władze tolerowały, o tyle ten był ciągle na cenzurowanym, o czym mnie poinformowano: żadnych ulg czy *koncesji*. Nie mniej egzamin zdałem dobrze, a *ob curiositatem* dodam, że gdy z ks. Wojciechem Raczkowskim, startującym na historię, pojechaliśmy złożyć odpowiednie dokumenty i podanie, poproszono, by pójść po świadectwo lekarskie do przychodni studenckiej, która mieściła się obok głównego gmachu w prymitywnym baraku. Wiele nie zastanawiając

się – załatwić jak najszybciej, by zdążyć na powrotny pociąg! – weszliśmy do pierwszego z brzegu pokoiku. *Zaświadczenie? Od nas?? – A gdzie skierowanie?* – Tłumaczymy, jak można najobszerniej... *No dobrze, tylko nie u nas, w dziale zdrowia psychicznego, tylko w ogólnym! – Achaaaa....!*

Rosik, Łukaszyk, Bernat, Raczkowski, Durczewski i ja

Gdy nadszedł październik, początek roku akademickiego – powiększyliśmy znaczne grono studiujących poznaniaków: ks. Rosik, Łukaszyk, od roku już tam był Zdzich Bernat, a teraz Raczkowski, Jaromir Durczewski i ja. Zrazu nowicjuszom przysługiwała starsza część konwiktu dla księży przy ul. Nowotki. Ja dostałem pokój – jeśli tak eufemistycznie go nazwać – z Jarkiem i jakimś innym księdzem. Biegało się no... nie za stodołę, ale trochę bliżej, a zawsze można było przez wielkie szpary w drzwiach słuchać rozmów na korytarzu i sprawdzać, czy zgaszono na noc światło. Chadzaliśmy – o zgrozo, w koloratkach: *Jacyś protestanci??* – na miasto po zakupy: zdobyć trochę kawy, coś do niej, a właściwie, by się przejść, przejechać psującym się trolejbusem po kocich łbach Krakowskiego Przedmieścia. Każdy znalazł jakiś kościół, gdzie mógł odprawiać Mszę św. czekając w kolejce, aż się zwolni któryś ołtarz. Wtedy podziwiałem gorliwość Jarka: wstawał około 5 rano, by zdążyć gdzieś na mieście do kościoła, wracał późno często tam i w kościele akademickim dobrowolnie godzinami spowiadając. A że gdy wcześnie rano wychodząc robił mi jakiegoś psikusa – wybaczam mu, ale najtrudniej wybaczyć tego kota! Znalazł gdzieś zmarzniętego i wsunął mi śpiącemu pod kołdrę. Co ja bidna sirota miałem potem z nim zrobić? Natomiast Jarek dzielnie znosił ze mną niezawinione przez niego prześladowania komunistycznego *Finansamtu*. Gdy byłem na Górczynie, kanonik umiał wszystko załatwić z nachodzącym nas komornikiem – teraz długi za zawyżony podatek przesłano tutaj, i tutaj komornik się nie patyczkował: przeszukał wspólną szafę i zajął co cenniejsze – jego elektryczną maszynkę do golenia (wtedy ósmy cud świata!) i piękny płaszcz doktorskiego syna. Opisał dokładnie łaskawie nie rekwirując. Zaprosił nas do urzędu, by udowodnić, co jest czyje...

Później zamieszkałem w nowszej części konwiktu z Wojtkiem Raczkowskim a gdy powędrował do Rzymu, utrzymywaliśmy kontakt telefoniczny i listowy. Przez telefon od razu się rozpoznawaliśmy się: *Tu arcybiskup Mediolanu. Witaj, Szejku Kuwejtu!* Innych, prozaicznych pseudonimów z jego listu nie wypada tu, w tak szacownym miejscu podawać... Może tylko dodam z naszego miłego, a i drakownego studenckiego życia, że nie może mi zapomnieć odkrycia na miarę Einsteina: ponieważ kapiąca z kurka umywalki woda w małym pokoiku przeszkadzała w zasypianiu – przywiązałem do kurka sznurek, po którym pozwoliłem jej bezgłośnie spływać.

Dość dżoków! – Twórczej atmosferze Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie, a zwłaszcza kulowskiej filologii polskiej bardzo, bardzo wiele zawdzięczam, a nie wiem, co było ważniejsze: czy sama materia studiów, którą jednak zawsze traktowałem służebnie w stosunku do moich potencjalnych zadań w Kościele, czy metodologiczne wtajemniczenia w naukowe myślenie, badanie, pisanie. Chyba *ambo meliores!* Do dziś do nich sięgam. To był rzetelny, dogłębny kurs pięcioletnich studiów, który dał podwaliny wszystkiego, co potem robiłem wykorzystując nabyte sprawności, traktując polonistykę – może raczej humanistykę? – bardzo szeroko, nie wahając się przyznać, że tego czy tamtego z masy tekstów literackich, historii literatury nie znam, może nie pamiętam, ale gdyby było trzeba, w jednej chwili znajdę! Z tychże powodów wybrałem jako bardziej przydatny w przyszłej pracy – kierunek literacki, a nie językoznawczy, choć prof. Maria Kosowska tak bardzo zachęcała... Faktycznie: odkrywałem, ileż historii człowieka utrwalił język, jak ciekawa i pouczająca jest historia języka, nawet gwara, a cóż dopiero mówić o jego pięknie, umiejętności rozeznawania zjawisk językowych, zdolności wyrażania myśli i uczuć, a tu już blisko do porozumiewania międzyludzkiego – zainteresowanie nim już tam się rodziło, potęgowane doświadczeniami duszpasterskimi, świadomością potrzeby doskonalenia poprawności językowej, by nią służyć Słowu Najwyższego. Pokochałem staropolszczyznę, do dziś pamiętam, jak ciekawe, ogólne wnioski można wysnuć porównując pierwsze tłumaczenia testów biblijnych, psalmów – renesansową rozbudowę podmiotu i orzeczenia w zdaniu: Ja, biedny człowiek, wołam głośno do Ciebie, wielki Boże... Pokochałem i Wujkową Biblię.

To było solidne, literackie wtajemniczenie

Umiejętność rozumienia i analizowania zjawisk językowych zawdzięczam pani Kosowskiej – mądrej i miłującej młodzież doświadczonej nauczycielce, choć ćwiczenia były dość męczące, drobiazgowe, a ona – przy ujawniającej się miłości i zatroskaniu o młodych – była bardzo wymagająca. Rozczarowywała – nie tylko ona! – rozmarzone studentki, które inaczej sobie wyobrażały studia polonistyczne. Skromny i równie niepozorny jak ona, prof. Tadeusz Brajerski usiłował w nas przelać swą wielką wiedzę *praindoeuropejską, starocerkiewno-słowiańską*... Z kolei popis poprawności i precyzji językowej – i takież same wymagania – człek zauważał i miał okazję uczyć się od prof. Ireny Sławińskiej, Czesława Zgorzelskiego – niczym najdoskonalszy chirurg umiejącego... wiersz rozkładać na czynniki pierwsze, by dopiero wtedy, na podstawie użytych środków językowych odsłonić i umotywować jego przesłanie i piękno. Bardzo zaciekawił prof. Stepień swym wykładem monograficznym o filozofii filmu. Jakże miał się – potem, niestety długo potem... – kurs edytorski, który bez zadęcia przeprowadził nasz wydział. Były

Kosowska, Brajerski, Sławińska, Zgorzelski

spotkania z pewnymi redaktorami pism: poznałem Turowicza i jego pokorne deklarowane poddawanie się adiustacji swych tekstów. Wiele można było się nauczyć od redaktora Wojciecha Wieczorka z *Więzi*...

No wiodło się na studiach... Rychło poznałem, co znaczą ćwiczenia i seminaria. Zdać egzamin u prof. Zgorzelskiego bez odpowiednich zaliczeń z ćwiczeń – niemożliwe. Nieco krępujące było, gdy omawiając prace zaliczeniowe – wówczas magister – Ireneusz Opacki powiedział: ks. Grzegorski – poza oceną, potem bardzo dobry dla pani Iks – itd. Z wielką satysfakcją pierwszy raz analizowałem wiersz Kamila Baczyńskiego, który sam wybrałem:

Gdy broń dymiącą z dłoni wyjmę
i grzbiet jak pręt rozgrzany stygnie,
niech mi nie kładą gwiazd na skronie...

Bo przecież trzeba znów pokochać.
Palce mam – każdy czarną lufą,
co zabić umie...

Bo przecież trzeba znów miłować.
Oczy – granaty pełne śmierci,
A tu by trzeba w ludzi spojrzeć.
i tak, by Boga dojrzeć w piersi...

Analiza to jedno, ale odczytany zapis przeżyć wojennych, ewokowanie moich dziecięcych przeżyć, to jakże chrześcijańskie przesłanie – to nie druga, a pierwszorzędna dla mnie sprawa. I tak zaczęło się moje umiłowanie i spotkanie z Baczyńskim, ale nie tylko: z Gajcym, Trzebińskim i innymi młodymi, debiutującymi podczas wojny, którzy słusznie nazwali się *pokoleniem dramatycznym*.

Literackie nagrody

Rychło poproszono mnie o reprezentowanie polonistyki kulowskiej na XI Ogólnopolskim Zjeździe Młodych Polonistów w Łodzi (*Problemy dramatu polskiego XX wieku:* 27 – 29 IV 1964 rok) referatem, który zatytułowałem: Twórczość dramatyczna *dramatycznego pokolenia*. Wtedy tej tematyki nie wypadało tykać państwowym uniwersytetom – to raz, a dwa: miałem dostęp do tekstów wojennych (zablokowanych przez partię) w maszynowych odpisach. Pierwszy raz znalazłem się w roli referenta w rozgorączkowanym audytorium studenckim, oczywiście nie zorientowanym, że słyszą księdza. Zachowała się swoista pamiątka tamtych dni: liścik na karcie bibliotecznej. Podczas sesji, gdy studenci już ćwierkali o nagrodzie dla mnie, kartka dociera do mnie: *Kiedy Pan wyjeżdża?* – *K. L.* – Na tej samej kartce odpisałem:

Ja jadę w Poznań, i to chyba wieczorem, gdy... dadzą mi na podróż. Co za tupet, czy nie? Kartka wraca: *O Santa! Ja przecież nie farmaceutka – proszę trochę czytelniej. A co do nagrody, my również typujemy, gdyby się nasz głos liczył. Ale w razie czego mogę przyznać małą osobistą nagrodę pocieszenia, jeśli to będzie referentowi miłe. K.L.*

Dostałem drugą nagrodę Ministerstwa Oświaty – jakąś sumę pieniędzy, nie pamiętam jaką. Zdziwienie – nie pierwszy raz, za dwa lata się powtórzyło. Ktoś mi wyjaśnił: niemożliwe, by Uniwersytet, tzw. *KUL* – tylko tak określany, bez rozwijania całej nazwy, mógł w Polsce Ludowej być wśród młodzieży eksponowany. Po powrocie do Lublina wręczono mi nagrodę uniwersytecką (cóż mógł dać ten biedny Uniwersytet, ze składek żyjący i nękany podatkami?) – album *Teatr w Polsce współczesnej* z wpisem dziekana: *...autorowi pracy pt. Twórczość dramatyczna «dramatycznego pokolenia», wykonanej na proseminarium historycznoliterackim, nagrodzonej za dobrą znajomość przedmiotu i umiejętność analizy dzieł dramatycznych. Lublin, dn. 10 XI 1964 r.* Tak, właśnie zainteresowanie strukturą, budową jakiegokolwiek tekstu, komunikatu, jej analiza, interpretacja – instynktownie wydawały mi się jako księdzu przydatne do pracy w Kościele, acz nie wiedziałem, co to będzie za praca...

Za dwa lata (XII Ogólnopolski Zjazd Młodych Polonistów, poświęcony... literaturze Polski Ludowej: 25 – 27 IV 1966 r. w Poznaniu) następny mój referat jako reprezentanta filologii KUL na następnym Zjeździe. Nie pamiętam, jak się zrodził jego temat, od którego bardzo odwodził mnie prof. Stefan Sawicki: nie wolno zmieniać na tym poziomie rozwijającej się specjalizacji badanego gatunku ani okresu! A jednak jako kulowiec przyjechałem do swojego Poznania z referatem: Z przeobrażeń powieści historycznej: Sienkiewicz – Malewska – Parnicki (w drukowanym później tekście we „Współczesności" dodałem: *Wyprawa w historyczną współczesność*). Istotnie – to często prawidłowość, zwłaszcza w okresie zniewolenia: współczesne problemy ilustruje się, rozgrywa w kostiumie historycznym. I co mnie jeszcze zainteresowało: płytkie, *terapeutyczne* traktowanie legendarnej historii – zrozumiałe – na potrzebę chwili, i ciekawe, pogłębione ujęcie Malewskiej (interesująca powieść!) i eksperymentalny historyzm Parnickiego.

Znów dostałem drugą nagrodę ministerstwa, a uwagę moją skupiał siedzący przy stole jury prof. Jerzy Ziomek, z którego uszczypliwościami na temat twórczości katolickiej polemizowałem. Okazał się dżentelmenem: nie tylko nie uraził się, ale wiem, że bardzo popierał moją kandydaturę do nagrody. Za parę lat znów mieliśmy się spotkać na ścieżkach uniwersyteckich...

Były jeszcze inne nagrody uniwersyteckie – w aktach mam odpowiednie zawiadomienia dziekanatu. Tyle zostało. I ostatnia z dziekańskim wpisem: ...*za wybitne osiągnięcia naukowe pracy magisterskiej o Najnowszym teatrze religijnym w Polsce (1939 – 1964), opartej na rozległych kwerendach materiałowych i samodzielnej interpretacji.* Jak mi ktoś z profesorów powiedział: co za obszerne, wnikliwe kwerendy! Ten temat wyskoczył z niczego – jak Feniks z popiołów! *Speedy Gonzales* – nazywali koledzy nawiązując do aktualnego przeboju. Wreszcie dyplom – formalne zakończenie studiów na Wydziale Nauk Humanistycznych: powyższy tytuł pracy magisterskiej, ocenionej jako bardzo dobra – *po złożeniu egzaminu magisterskiego z wynikiem bardzo dobrym uzyskał w dniu 28 czerwca 1966 roku niniejszy dyplom magistra w zakresie filologii polskiej.*

Profesor Irena Sławińska czyli szerokie horyzonty

Tu czas, by wspomnieć mojego głównego *tutora* – prof. Irenę Sławińską. Miałem zupełną swobodę w pisaniu pracy magisterskiej na jej seminarium teatrologicznym, jej zaś wykłady otwierały szerokie horyzonty badań, awangardowych tekstów dramaturgicznych, które (często niedostępne) – swoiste *impromptu* – cytując we fragmentach na bieżąco tłumaczyła. Już wtedy zafascynował mnie sygnał o teorii informacji – komunikacji wprowadzanej do badań literackich, a już przede wszystkim *narzędzia* badawcze dla analizy tekstów – wielokrotnie wznawiane: *Struktura dzieła teatralnego. Propozycje badawcze* (w: *Problemy teorii literatury,* Wrocław 1967, tamże jakże mi bliskie przydatne Romana Ingardena *Z teorii dzieła literackiego,* nie wspominając innych...) – dla mnie swoisty kanon metodologiczny, służący i do dziś refleksji nad odbieranym komunikatem artystycznym.

Wchodziłem w problemy i umiejętności badawcze, by... wyjść! Tymczasem w roku 1967 znów wypadło zgodzić się na wygłoszenie referatu pt. *Najnowszy teatr religijny w Polsce* na sesji teatrologicznej w Lublinie (14 – 15 IV) w dniu, w którym obradom przewodniczył Jerzy Zawieyski. Popularność jego *Rozdroża miłości* tłumaczyłem zapotrzebowaniem na chrześcijańską problematykę moralną, co ostatecznie dla dramaturga nie jest najwyższą pochwałą, a jednak – nie zapomnę – odszedł od stołu prezydialnego i w dowód wdzięczności kordialnie mnie uściskał. Po kilku dniach doręczono mi pakiet z nadrukiem: Rada Państwa (wtedy był jej członkiem), a w środku jego książka *Konrad nie chce zejść ze sceny* (Warszawa 1966) z dedykacją: *Drogiemu Ks. Zdz. Grzegorskiemu – z wielkim uznaniem i sympatią autor. 17 IV 1967 r.* i równie miłym bilecikiem m.in. zapraszającym do Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie.

Roman Brandstaetter

Swoistym ewenementem powtórzenia tej sesji w redakcji „Znaku" w Krakowie (19 – 20 V) była nie tyle obecność Romana Brandstaettera,

co ordynariusza – kard. Wojtyły. Ale najpierw o tym *enfant terrible* tej sesji – naszym poznańskim twórcy. Już na etapie kwerendy materiałów do magisterium odwiedziłem go w jego mieszkaniu i... musiałem wysłuchać jego słów pełnych oburzenia: po odwilży październikowej Kościół katolickimi twórcami się nie zainteresował – rzucono nas w objęcia Paxu. Omal wykrzykiwał! W Polsce jego utwory nie są inscenizowane, tylko za granicą, a amatorskie przedstawienia, nawet w kulowskiej wersji akademickiej go nie interesują. Powtórzył to po moim referacie w Krakowie. Prof. Sławińska, z ogromnym spokojem i rzeczowością zaczęła tłumaczyć, jaką rangę i znaczenie mają realizacje *ochotnicze*, jeśli *amatorskie* kojarzą się z amatorszczyzną. Pomijając aktualne zniewolenie kultury polskiej, trzeba pamiętać, że na scenach amatorskich rodziły się wielkie eksperymenty teatralne, a teatr zawodowy czuje się zagrożony tym, co się rodzi na tych scenach.

Karol Wojtyła: styl obecności

Temu wszystkiemu w uważnym milczeniu przysłuchiwał się Kardynał. Proszony o zabranie głosu w tej dyskusji – odmówił tłumacząc pokornie, że sam słucha i się uczy. Niech mówią fachowcy. *Styl* Jego obecności wśród świeckich już miałem okazję obserwować na otwartym spotkaniu z całym środowiskiem KUL po powrocie z I sesji Soboru Watykańskiego. Miało się wrażenie, że jest to spotkanie omalże... ze starszym kolegą: stał z mikrofonem w ręku pośród słuchaczy – wprost *gwarzył*, odpowiadał na pytania. Uderzyło mnie jedno z wyznań: *na początku Soboru byliśmy przerażeni wielością i różnorodnością problemów, sposobem ich relacjonowania... Dopiero potem, pod wyraźnym działaniem Ducha Świętego, odkrywaliśmy jakby wspólny mianownik tej różnorodności.* Powiem szczerze, że byłem pod wielkim wrażeniem takiego stylu bycia biskupa, jego prostoty i mądrości. Gdy został mianowany arcybiskupem, ja – kulowska studencina – napisałem kilka ciepłych słów. Niech się pochwalę, skoro tylu to robi eksponując swoje spotkania z Nim: nadeszła kartka z odręcznie napisanymi słowami (*documenta habeo*): *Za przesłany list i szczere słowa serdecznie dziękuję, szczególnie za modlitwę + Karol Wojtyła. Kraków, 3 VI 1967 r.*

Jako się rzekło, wchodziłem w te problemy, nabierałem umiejętności, by... wyjść. Jak się później dowiedziałem, prof. Sławińska – powiedzmy – *walczyła* o mnie. Złożyła wniosek do rektora, ks. prof. Granata, o stypendium doktoranckie i zatrzymanie mnie na KUL. Odmówił słusznie tłumacząc, że ksiądz zawsze jakoś się utrzyma, a świecki pracownik naukowy nie, więc tylko takiemu może przydzielić stypendium. Jeszcze arcybiskupowi Strobie mnie przypomniała, o czym sam mi powiedział. Jakby... *proroczo* napomknęła nazwisko: ks. Leszek Kuc – polonista i homileta w ATK, co później zaważyło na mojej homiletycznej służbie Kościołowi.

Po stronie nadziei

W tamtych czasach po studiach zachęcała, bym sprawą teatru religijnego i moimi pracami zainteresował szersze kręgi pisząc w nielicznych czasopismach katolickich. Dwa razy zwracałem się – tak było trzeba – do mojej władzy kościelnej o pozwolenie publikowania np. w „Tygodniku Powszechnym", w „Znaku". Odmowa. To znów wciągnęła mnie w jeszcze jedno przedsięwzięcie: Instytut Badań Literackich otrzymał kanadyjską dotację na serię tomów o *sacrum* w literaturze polskiej. Kierujący inicjatywą prof. Odrowąż – Pieniążek zwrócił się do mnie – przygotowałem konspekt. Sprawę gdzieś, ktoś powstrzymywał... Dopiero po latach Towarzystwo Naukowe KUL mogło zacząć publikować serię *Religijne Tradycje Literatury Polskiej* pod redakcją prof. Stefana Sawickiego. W tomie *Dramat i teatr religijny w Polsce* (redakcja – Irena Sławińska i Wojciech Kaczmarek, Lublin 1991) opublikowano moją, polską, poszerzoną wersję studium *Po stronie nadziei. Z dziejów teatru religijnego w czasie wojny 1939-1945 (z charakterystyczną, znaczącą dedykacją: Ludziom, których męczeńską śmierć oglądałem, poświęcam),* bowiem w międzyczasie Zakład Badań nad Literaturą Religijną KUL już wydał wersję francuską: *La litterature contemporaine Polonaise et le sacre* (Lublin 1978) z pierwszą wersją: *Du cote de l'espoir. L'histoire du theatre religieux pendant la guerre de 1939-1945.* A jak zwykle przy wszystkich tekstach publikowanych w kulowskich czasopismach naukowych – dla mnie cenna nauka – potrzebna bała recenzja wydawnicza także profesora spoza środowiska. Mój tekst recenzował prof. Zbigniew Raszewski sugerując, by jeszcze bardziej wyakcentować niebezpieczeństwa grożące wszelkim polskim poczynaniom kulturalnym pod okupacją, z czego zagraniczny czytelnik może nie zdawać sobie sprawy.

Z młodymi – dla młodych

Trudno nie nadmienić serdecznych kontaktów z ks. Franciszkiem Blachnickim: *Pisz coś dla ministrantów – zaniedbane środowisko... Pisz mi dla Krucjaty Trzeźwości – mam swój dział w* „Gościu Niedzielnym". Sprawił, że tam zaczął się długo kontynuowany – później i w „Przewodniku Katolickim" – cykl *Nasze sprawy* dla ministrantów, natomiast cenzura rychło zlikwidowała często przez siebie pokiereszowany *Od młodych do młodych* w „Gościu". Wiele z tych tekstów potem znalazło się w dwu wydaniach *Ich jasne dni* (po 10 tysięcy!) Księgarni Świętego Wojciecha. Urzekające były listy chłopców i dziewczynek, które skrzętnie przysyłała katowicka redakcja. Formacyjny motyw *jasnych dni* okazał się wychowawczo bardzo przydatny. Zresztą – by na moment jeszcze wrócić do kulowskiego Wydziału Humanistycznego – wykłady i ćwiczenia z dydaktyki były podbudowane pedagogiką. By ją zaliczyć, trzeba było na podstawie własnych badań i obserwacji zinterpretować jakieś zjawisko i opisać je. Doświadczeń miałem wiele pro-

wadząc obozy z kilkunastoma młodziakami – nękany przez milicję! – więc teza była gotowa: Chłopak trudny w grupie wycieczkowej. Prof. Zenomena Płużek życzliwie zinterpretowała test Catella, który z Romkiem z Zagórza przeprowadziłem. Musiałem też sprecyzować moje generalia wychowawcze, a w tym pomógł mi przedwojenny podręcznik analizujący obecność elementów wielu nowoczesnych systemów wychowawczych, a konkretniej – wypracowaniu jakiejś *ad hoc,* na tamte czasy, formuły wychowawczej na obozach i wycieczkach, w czym walnie pomogła mi francuska literatura harcerska (angielska też, choć aktualnie oni *płyciej* traktowali – poza klasycznym Baden Powellem – swoje skautostwo).

Korespondencyjne przyjaźnie

Trudno nie wspomnieć swoistych *korespondencyjnych przyjaźni* z dwoma młodzianami: Tonym Mgbakorem i Jacquesem Lasserem. Pierwszy, Nigeryjczyk, licealista ze Szkoły Piusa X w Lagos, w jakimś naszym piśmie młodzieżowym podał swój adres i zgłosił chęć korespondowania w języku angielskim. I tak to się zaczęło: jego wielostronicowe szczere listy (zdjęcia!) omal co tydzień – o wszystkim! Radości i dramaty chłopaka, katolika, przedstawiającego je księdzu w Polsce. Trwało to lata – jeszcze niedawno... dr Anthony Mgbakor napisał z Abidjanu (Wybrzeże Kości Słoniowej). Ileś lat wstecz przeżył wielki dramat, już jako student medycyny: walki plemienne – wybijanie ludzi z plemienia Ibu, do którego należał. Uciekł do Konga, a potem do Abidjanu, gdzie na uniwersytecie używa się języka francuskiego! Gorąco prosi o dolary, by mógł kupić francuskie podręczniki. Skąd dolary, a gdyby nawet były, to jak przyznać się do tego w Polsce Ludowej, a tym bardziej wysłać?! Ale od czego Jacques? – Nie pamiętam, jak ta korespondencja się zaczęła: student humanistyki z Lozanny, władający biegle kilkoma językami europejskimi – wymienialiśmy nasze przemyślenia po angielsku, acz on potrafił cytować coś z literatury w oryginalnych językach. Sam harcmistrz – po naszemu – przysyła mi głównie francuskie periodyki (np. cenny dwumiesięcznik „Chef Scout de France"), potrzebne mi w okresie wielokrotnych wypadów z młodzieżą. Przeszedł na muzykologię – w Niemczech znalazł się w klasie dyrygentury u Pendereckiego. Wtedy prosił o płyty z jego kompozycjami, aż tu ode mnie prośba: pomóż Tony'emu! – Reakcja była natychmiastowa: wysłał telegraficznie 50 dolarów, nawiązał z nim kontakt i wysyłał zamówione książki medyczne w języku francuskim. Tak powstał ten... *trójkąt nie-bermudzki.* By rzecz zakończyć *weselnie*: jakieś trzy lata temu nadszedł z Abidjanu mały pakiecik. Otwieram: kawałek tortu weselnego i liścik, że pamiętali o mnie, a to jest oryginalny dowód. Trzeba mi przy tym uspokoić Czytelnika i *zgasić* uśmieszek: tort był smaczny – z zmielonych suszonych owoców afrykańskich.

Szanse...

Ale – do rzeczy! Inne teksty w tym okresie publikowane z pewnością znajdzie bibliograf... Tu, sygnalizując moje *odchodzenie*, niech wystarczy wspomnieć, jak rektor, ks. prof. Krąpiec, zagiął parol na mnie. 5 grudnia 1973 roku napisał do mnie: *Katolicki Uniwersytet Lubelski powołał do życia Instytut Migracji Polonijnej... Z tej racji zwracam się uprzejmie do Księdza Doktora z propozycją angażu w w/w instytucie od dnia 1 lutego 1974. Będę wdzięczny za możliwie rychłą odpowiedź.* Może to było efektem moich *uczonych* rozmów z kierownikiem Instytutu po powrocie z USA, do czego wypadnie jeszcze wrócić. – Odpisałem dziękując za propozycję i wyjaśniając: *...Mam zobowiązania wobec paru uczelni. Prowadzę homiletykę w Arcybiskupim Seminarium Duchownym w Poznaniu, w Seminarium Zagranicznym Księży Chrystusowców, od paru lat wykłady zlecone w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, gdzie mam przyjąć stały etat adiunkta. Nadto mam wątpliwości, czy zgodziłby się na to Ksiądz Arcybiskup...* Na to rektor Krąpiec telegramem wezwał mnie na rozmowę w tej sprawie do Lublina. Radziłem się starszych, co robić... Telegramem odmówiłem i znów wysłałem list dodając m.in., że *...po ukończeniu studiów na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w 1966 roku z niemałym trudem szukałem warunków do pracy i przygotowywania doktoratu. Trudno byłoby mi zrezygnować z obecnego stanu pewnej stabilizacji i planów na przyszłość...* Po pewnym czasie, będąc w Poznaniu, podczas obiadu w naszej profesorskiej stołówce w seminarium wobec kolegów jeszcze raz powtórzył propozycję, tym razem przedstawiając różne możliwości: homiletyka, Instytut Migracji lub polonistyka. Byłem zażenowany...

Moje poznańskie apartamenty

Wróćmy do chronologii: powrót ze studiów do Poznania, i do uwarunkowań kontrastujących z powyższymi sugestiami.

Załatwmy krótko moje miejsca pobytu: powrót na ul. Częstochowską do gościnnego pokoiku u ks. kanonika Jasińskiego; ul. Sporna – wydzielony pokój z mieszkania pp. Plewińskich (z polecenia ss. urszulanek), z wyjściem *tu oto tam* – raczej... *tam*! – na zewnątrz domu i wejściem do mieszkania stróża w suterenie, natomiast kąpiel – sza! tajemnica!!! – ukradkiem, w umówionym czasie, w domu sióstr naprzeciw, dzięki ogromnej życzliwości i *elastyczności* matki przełożonej; ul. Kościelna – pokoik na ostatnim piętrze w domu parafialnym, dokąd wnosiłem sam węgiel, paliłem w piecu, żywiłem się w barach na mieście, kończyłem doktorat i dojeżdżałem z wykładami do seminarium, i gdzie... dramatycznie zemdlałem: padając groźnie rozciąłem sobie skórę na twarzy. Gwoli szportu dodam, że mieszkał tam schorowany, bardzo mi życzliwy ks. Jerzy Ponicki. Robiłem wszystko, by przed nim ukryć próby tamowania krwi z rany, a jednak... słyszę, jak cła-

pie do mnie z sakramentalnym pytaniem: *Sąsiad, jak ci idzie? Ile napisałeś? O, a co to??* – *Nic takiego, skaleczyłem się...* – *Idź szybko do pogotowia, bo jak potem będziesz się golił?* Chwiejnym krokiem poszedłem. Dostałem zastrzyki przeciwtężcowe, a gdy chirurg podszedł do stołu zabiegowego, szyderczo zapytał: *Ile się wypiło?* – *Nic??* Opowiedziałem wydarzenie – nie dowierzając jeszcze nachylił się nade mną... wąchając. Zawołał: *Siostro, nie, nie te – te cienkie nici!*

Stamtąd na ul. Świętojańską – pokój w mieszkaniu rodziny proboszcza... Po pewnym czasie – pożar! Chcąc ułatwić życie mieszkańcom i sobie, przynosiłem wodę do pokoju i podgrzewałem tradycyjną grzałką. Traf chce, że tego zimowego ranka znów był wyłączony prąd (ogromny remont ul. Warszawskiej), a spieszyłem się na Mszę św. w seminarium zostawiając włączoną grzałkę... Później włączono prąd. Gdy wróciłem, już była straż pożarna: wypaliła się cała półka z książkami i oczywiście pokój – zdewastowany. Po licznych – przedtem, wtedy właśnie, potem... (halo, spuścić zasłonę!) – zawirowaniach wprowadził się tam wikariusz, a mnie dodano sąsiadujący mały pokoik. Tam także walczyłem ze... szczurami, ale nie będę się przecież chwalił! – Wreszcie tu, gdzie jestem i spisuję ten tekst *o sobie samym do potomności*: Ostrów Tumski 4 (od 9 marca 1983 r.) – z nakazu: *tu albo nigdzie!* Albowiem zawahałem się – przestrzegał mnie schorowany, wyprowadzający się stąd ks. prof. Rumiński...

Ksiądz magister – wikariusz górczyński *bis*

Powrót do diecezji ukierunkował dekret z dnia 18 czerwca: *Powołuję Księdza z dniem 1 sierpnia 1966 roku na stanowisko wikariusza przy kościele parafialnym p. w. św. Krzyża w Poznaniu – Górczynie...*, a potem zdawanie zaległych egzaminów wikariuszowskich, różnych zlecanych zadań. I o zawirowaniach...

Ponaglany przez wiele osób z Lublina i Poznania, zwróciłem się listem do arcybiskupa Antoniego Baraniaka (lubił raczej korespondencję niż rozmowę bezpośrednią) i otrzymałem 17 maja tegoż roku odpowiedź: *W związku z listem z dnia 23 kwietnia 1966 r. donoszę, że pragnę wziąć pod uwagę sugestie dotyczącą przydzielenia Księdzu takiego zajęcia w Archidiecezji, które pozwoliłoby na równoczesne kontynuowanie studiów polonistycznych. Korzystając z okazji, wyrażam radość z dobrych wyników dotychczasowej pracy Drogiego Księdza i nagród, jakie uzyskał. Podzielam zdanie o przydatności pracy naukowej Księdza dla działalności duszpasterskiej pojętej w szerokim tego słowa znaczeniu...* – Kto dokładnie na tym etapie interesował się moją sprawą, kto zachęcał do przypominania o sobie – nie wiem. Dość, że mam list od Arcybiskupa z dnia 7 czerwca: *W odpowiedzi na list z dnia 30 czerwca b.r. donoszę, że na razie nie da się nic zmienić w sytuacji*

księdza. Proszę zatem objąć wyznaczone stanowisko i kontynuować swoje studia. Spodziewam się, że mimo licznych obowiązków duszpasterskich, znajdzie ksiądz Magister czas na przygotowanie pracy doktorskiej. Gdyby stworzyły się lepsze warunki, to będziemy o księdzu pamiętać. Ciekawą ocenę pracy magisterskiej Księdza (czyją? – nie wiem) przy niniejszym załączam...

Tymczasem 10 VI 1966 roku napisał mi do Lublina ks. Jasiński wiele o parafialnych i swoich sprawach: *A teraz sprawa bardzo ważna.* Przy okazji mówił mi biskup Jedwabski, *że chce przeznaczyć właśnie Księdza do pracy duszpasterskiej na Górczynie.* Pytał o zgodę. Odpowiedziałem pozytywnie. *Nie wiem tylko, co Ks. Zdzich na to. Jak pogodzi pracę naukową z zajęciami duszpasterskimi.* Zobaczymy. *Salutem* ... 16 czerwca pisał do mnie ks. Wietrzykowski, już nie-rektor: *...Nie wiem nic konkretnego o planowaniach Kurii co do Twojej osoby...* Radził, bym osobiście rozmawiał z Ordynariuszem.

By dokumentację w tej sprawie zakończyć, sięgam po kopię listu zawsze mi tak bardzo życzliwego ks. kanonika Józefa Jasińskiego do Księdza Arcybiskupa z dnia 7 marca 1967 roku: *Piszę w sprawie Ks. mgra Grzegorskiego... – W czasie studiów miał u nas oparcie i tu pracuje gorliwie od sierpnia w charakterze wikariusza. Zwolniłem go z pracy w biurze parafialnym. Dałem mu dwie klasy, czyli 16 godzin tygodniowo nauki religii. Równocześnie przygotowuje prace doktorską... Otrzymał zaproszenie na KUL z wykładem ze swojej specjalności. Pisze kazania do* „BK", *artykuły do* „Gościa Niedzielnego", *gdzie ks. Gawor bardzo wysoko go ceni. Popieram jego prośbę, by otrzymał stanowisko mniej absorbujące niż praca w parafii, aby mógł napisać pracę doktorską i wykorzystać wiadomości nabyte na studiach. W Seminarium Duchownym przydałby się polonista, który miałby wykłady o literaturze dawnej i współczesnej w oświetleniu katolickim. Mógłby wyławiać talenty pisarskie wśród kleryków i prowadzić kółko literackie. Praktyka wykazała, że nie da się pogodzić intensywną pracę naukową z gorliwą praca duszpasterską... Prośbę więc ks. Mgra Grzegorskiego popieram, choć nie chciałbym go stracić ze względu na całokształt jego pracy...*

Najwyraźniej zachęcono mnie do przypomnienia o sobie, bo 8 kwietnia 1967 roku otrzymałem list od Arcybiskupa: *W odpowiedzi na pismo z dnia 6 marca w sprawie stworzenia Księdzu Magistrowi dogodniejszych warunków do pracy naukowej, donoszę niniejszym, że prośbę Księdza spełnimy w lipcu br. – w związku z planowanymi przeniesieniami...*

Ksiądz magister kapelan

Księdzu Magistrowi polecamy, aby objął tymczasowo obowiązki kapelana przy kaplicy w Domu Sióstr Urszulanek w Poznaniu, ul. Sporna 6 z dniem 12 lipca 1967 roku... I oto jestem kapelanem sióstr urszulanek

(*czarnych*) i mieszkam blisko nich na ulicy Spornej. Nigdy nie zapomnę przełożonej, matki dr Szerwentke! Z wykształcenia biolog, była dyrektorka gimnazjum urszulańskiego: kobieta mądra, otwarta na wszystkie problemy, głęboko pobożna. No, byłem zaskoczony, gdy podczas licznych wprost przyjacielskich naszych rozmów, kiedyś mi opowiadała (często towarzysząc mi przy obiedzie), jak formuje postawy dziewcząt do ich dojrzałego życia i małżeństwa, jak upominała, by ceniły sobie – że wyraźniej za nią tu nie powtórzę – powiedzmy: *swoją kobiecość*... Co za otwartość, rzeczowość, *soborowość*, jeśli to coś może znaczyć... A to wsparcie mnie duchowe, *pedagogiczne*, także konkretne (kazała dawać obiady, dożywiać), nawet finansowe, bym mógł kontynuować opiekę nad studentem z wielodzietnej rodziny (ośmioro dzieci), a potem rychło nad ich dwojgiem, gdy przyprowadzał mi swoją przyszłą *drugą połówkę*! Nic dziwnego, że wokół niej gromadziły się przy różnej okazji liczne panie, często na wysokich stanowiskach – jej urszulańskie wychowanice, którym wypadało mi na jej prośbę spełniać posługę słowa. Nic dziwnego, że biskup Bejze w swych seriach o osobowościach chrześcijan zamieścił wiele wspomnień. Szkoda, że wtedy o tym nie wiedziałem: z wielką chęcią i ja dołączyłbym się z tekstem o spotkaniu z nią – jeśli wolno – człowiekiem świątobliwym i tak współczesnym! Sekundowała jej zastępczyni do spraw ekonomicznych, s. Immakulata, jakże pomocna i potem, gdy jako przełożona domu w Krakowie dawała mi pokój i wyżywienie, gdy przyjeżdżałem, by zbierać materiały do pracy doktorskiej – nie tylko konkretną pomoc: inna osobowość, ale równie otwarta, inteligentna, więc zawsze mieliśmy sobie wiele do powiedzenia i rozważania wielu spraw. – A ta kochana staruszka, siostra Sylwia z dawnego *drugiego chóru*, obiegająca mnie jak najlepsza matka, a i Andrzeja, Jolę – studentów! (potem przykładna matka czworga dzieci... umierająca na raka – zob. *Matka – jedno życie*, „Przewodnik Katolicki" 1993,40). Modlę się do dziś za nie – a może trzeba by: *do nich*? A takich sióstr oddanych Bogu i ludziom poznałem więcej, by wspomnieć choćby szarytki: siostrę Gertrudę ze szpitala (brr...) Pawłowa, siostry Wincenta, Józefa, Monika ze zlikwidowanego domu na *Śródei*...

Zaraz we wrześniu mianowano mnie spowiednikiem *specjalnym* sióstr, zamienionym później na *dodatkowego*. Z niejakim wzruszeniem wspominam tamte kapłańskie czasy... Chociaż nowa przełożona od razu wzięła mnie *do nogi*: jak można być kapelanem i spowiednikiem?? Niech wolno mi w tych kapłańskich wspominkach dodać, że nie przestaję podziwiać jej wielkiego przezwyciężenia i samozaparcia, gdy nadszedł moment przeprosin w Wielki Piątek. – Halo, zasłona! – *Nowe porządki, pani minister, spisała ich już calutką listę*... – śpiewano przed wojną taki szlagier.

L'aventure intelectuelle

Kończyłem doktorat już w pokoiku przy ul. Kościelnej... – Promotor, stający wtedy... na obrzeżach Kościoła, nie krył swego oburzenia. Jak w Kościele pojmuje się studia, tak rzadki typ doktoratu człowieka spoza kadry uniwersyteckiej? Zdecydował się być promotorem właśnie dlatego, że nie był praktykującym katolikiem. Uważał, że się naraża. Nasłuchałem się wtedy wielu gorzkich słów... Zmuszony do przedstawienia sprawy swojej władzy, dostałem (27 VI 1969 r.) dość *niecierpliwą* odpowiedź. Będę miał lepsze warunki do pracy naukowej: *...szybko zdać doktorat, gdyż nie mogę zgodzić się na to, aby jego przygotowanie przeciągało się w nieskończoność*... Zorientowana w sytuacji prof. Sławińska pisała mi, by poinformować władzę, że doktorat z filologii pisze się 6-8 lat. Potem napisał dr Stefan Kruk: *Osobiście gratuluję tak szybkiego tempa w pisaniu rozprawy doktorskiej. Będziemy czekać na druk!* – Nie wiedziałem, że prof. Maciejewski napisał 20 czerwca list do Księdza Arcybiskupa (ciut *niepokorny*): *...Praca zapowiada się ciekawie i sądzę, że cenzus naukowy, o który ubiega się mgr Z. Grzegorski, jest należycie doceniany przez Władze kościelne. Zobowiązuję więc doktoranta do przedstawienia mi planu pracy na następny rok oraz do poinformowania mnie o wynikach starań o urlop naukowy.* – Tak więc 31 lipca przeprowadzka na Jeżyce...

Awantura intelektualna, by słuszniej nie powiedzieć: *l'aventure intelectuelle!* Taki ogrom pracy nad nie przebadanymi zagadnieniami, tak rozległa kwerenda, tyle konsultacji – rozeznawania problematyki, kontaktów, a nawet zażyłości z ludźmi kultury! Po co ja to robiłem?? I to przy bardzo nie sprzyjających warunkach bytowych, inicjacji *mojej nowej* homiletyki i masy innych, równolegle wypełnianych zajęć. O niektórych usiłowałem w wielu miejscach wspominać pomijając poczynania rekolekcyjne itp. – Znów *wchodziłem*, by zostawić, *wyjść*...

Perypetie przed doktoratem

Ale – *ab ovo*. KUL nie miał praw nadawania *świeckich* doktoratów, a do tego musiałem wrócić do Poznania, więc UAM. Sprawa nie była łatwa: absolwent KUL-u, człowiek spoza instytucji naukowych, do tego – ksiądz... Co na to wszechobecne – i na uniwersytetach – czynniki partyjne?? Jeśli nie ma tych motywacji, to muszą być jakieś inne referencje, by uzasadnić wyjątkowość ewentualnego doktoranta. Kto ludzi Kościoła wtedy – a i dziś – potrafi się wczuć w tamtą atmosferę i chęć oddzielenia nie partyjnych od nauki i nałożonych na nią serwitutów? – Zaprzyjaźnieni ludzie radzili nawiązać kontakt z doc. Maciejewskim, w tym panie z Pracowni Bibliograficznej Instytutu Badań Literackich – gdzie wielokrotnie już korzystałem z nowych zbiorów bibliograficznych – jak dr Teresa Tyszkiewicz, wprost *macierzyńska* żona profesora – Krystyna. Od 6 października 1966

zaczęły się moje kontakty z historykiem literatury – wtedy jeszcze docentem Maciejewskim. Godził się tylko na tradycyjną tematykę historycznoliteracką – nic z tego, co proponowała prof. Sławińska: *Z tym proszę do Instytutu Badań Literackich w Warszawie!* Po wielokrotnych rozhoworach stanęło: Rostworowski. Zaczęły się moje wstępne sondaże, pierwsze kwerendy. Temat się precyzował: zrazu *Teatr Rostworowskiego* (rychło okazało się, że to niemożliwe: właściwie za obszerny był nawet skorygowany temat: *Początki dramatopisarstwa...*). Przygotowałem podanie i całą dokumentację *pod napięciem* tamtych uwarunkowań: dorobek naukowy (pomogły państwowe nagrody!), uzasadnienie wyboru tematu i przewidywaną koncepcję pracy, łącznie z żądaną opinią prof. Sławińskiej, która – jeśli pominąć to, czym sam... się pochwaliłem – napisała: *W ciągu dwuletniej pracy na seminarium Z. Grzegorski zwracał uwagę szerokim zasięgiem zainteresowań, konsekwentnie realizowanych, oraz wielką sprawnością i dyscypliną, która sprawiała, że wszelkie podejmowane zadania wykonywał zawsze w oznaczonym terminie. Brał żywy udział w dyskusji wykazując się zmysłem krytycznym oraz szybką reakcją myślową i bystrą inteligencją. Za pracę magisterską również uzyskał nagrodę. – Wspomniane cechy umysłu i charakteru, jak również dobre przygotowanie doktoranta (znajomość języków obcych i studia filozoficzne) pozwalają oczekiwać, że stanie się pożytecznym pracownikiem naukowym.* Z promotorem stanęła i taka umowa: w życiorysie na wszelki wypadek podać *studia filozoficzno-teologiczne* i nigdy nic więcej na ten temat, nigdy nie występować w stroju duchownym, a może jakoś się uda mnie przemycić. Tylko co będzie na *konfesyjnie* traktowanym egzaminie z marksizmu?? – No, zobaczymy.

Decyzja KHR i UAM

Nadeszła decyzja: *Dziekanat Wydziału Filologicznego UAM uprzejmie zawiadamia, że Rada Wydziału na posiedzeniu w dniu 20 kwietnia 1967 r. otworzyła Panu przewód doktorski, zatwierdziła temat pracy doktorskiej pt. «Teatr K. H. Rostworowskiego», na promotora powołała doc. dra Jarosława Maciejewskiego, oraz na jego wniosek ustaliła następujący zakres egzaminu doktorskiego z dyscypliny podstawowej: teatr i dramat polski wieku XX.*

Wątpliwości Brandstaettera

Pontifex – pons, facere! Dla mojej posługi jako homilety – już nim byłem! – ten doktorat z całym ładunkiem doświadczeń humanistycznych dzięki Bożej Opatrzności miał się okazać czymś nieodzownym: w myślenie pastoralne wprowadziłem rozeznany kontekst humanistyczny. A ściśle: były to pozornie dalekie obrzeża, bo promotor, typowy historyk, oczekiwał badania dokumentów, źródeł, filozofii – historycznych kontekstów, które współtworzyły dramatopisarstwo Rostworowkiego. Dla mnie był to człowiek, który dał obraz siebie i epoki – swój pogląd na życie i człowieka. Twierdził, że jest

szary – ani *biały*, ani *czarny* (potem najjaśniej w *Judaszu*: *Tylko człowiek*), do tego zdeterminowany swym pochodzeniem i losem: nie ma i nie może być żadnego awansu społecznego. Jest tym, kim jest: chłopem? – to chłopem, Żydem? – to Żydem! Nie może się zmienić, przepoczwarzyć. Ale nad takim człowiekiem się litował. Tak ukształtowała się też jego religijność...

Ale już zbyt wiele tu powiedziałem na ten temat! Szybko wspomnę tylko, że Brandstaetter, z którym i o tym rozmawiałem, ciągle go uważał za antysemitę: *Bierze ksiądz gorące żelazo do ręki – niebezpieczne i trudne!* – Próbowałem tłumaczyć filozofię Rostworowskiego, który szczycił się tym, że zgodnie z nią takich ludzi szanował – *przechrztów* nie. Byłoby zbyt daleko idącą dygresją, gdybym opowiedział przy tej okazji o naszej długiej rozmowie w pociągu z Warszawy do Poznania, kiedy to *odtwarzałem nagrane w pamięci*, obserwowane dziecięcymi oczyma tragedie Żydów w Ostrowcu Świętokrzyskim: *Jeszcze inne wydarzenie?* – *Tak* – siedział głęboko zamyślony i słuchał. W końcu powiedział: *Nie, więcej nie. Już nie mogę!*

Wątpliwości profesora Jarosława Maciejewskiego

Wracając do podjętego wątku: obok historyzmu jako dorobku myślowym tamtych czasów, był i dla mnie niezmiennie cenny – nadal – nazwijmy *strukturalizm*, penetrowanie struktur ludzkich wypowiedzi – tu dramatów Rostworowskiego, a raczej *scenariuszy* dramaturgicznych. Dla mnie – w kontekście interesujących profesora uwarunkowań historycznych – to było odkrywcze: obok innych aspektów, odkrywałem ich potwierdzenie w strukturze dramatów. Jawił się w ten sposób dobrze umotywowany autobiografizm, acz jest to temat i trudny, i niewdzięczny, traktowany podejrzanie. Profesor dał mi pełną swobodę: pracowałem sam, przynosiłem kolejne partie tekstu do wglądu, relacjonowałem poszukiwania źródeł i dokumentów. Ale gdy zobaczył działy analizujące strukturę pierwszych dramatów – a i poezji – *Rostwora*, żachnął się: *Z tym nie do mnie. To proszę się przenieść do IBL-u w Warszawie! Ja się na tym nie znam i nie będę tego firmował* – Byłem tym *podłamany*... Nie zapomniałem tej lekcji wtedy, gdy mnie namawiano na habilitację: znów ktoś mi powie, że się nie zna, a cóż dopiero mówić o ujęciach wprost interdyscyplinarnych! A jeszcze bardziej w naszych kontekstach teologicznych... wtedy (a może i dziś??). Po pewnym czasie *przełknął* ten problem, bo spełniłem jego oczekiwania, a i może docenił efekty owego typu badań. Być może, by *wyjść z twarzą*, wspomniał później, że prof. Sławińska jako recenzent będzie miała co do roboty...

Spełniając jego oczekiwania, słuszne zainteresowanie mało znanymi początkami, wykopałem głęboki fundament pod studium całej twórczości Karola Huberta, wzbudzając najpierw zdziwienie niejednych moimi poszukiwaniami korzeni. Czy to sprowokowało prof. Emanuela Mateusza Rostwo-

rowskiego, jednego z synów, by po latach, w roku 1985 opublikować *Popioły i korzenie – Szkice historyczne i rodzinne*? Pisał mi: *...Jeśli chodzi o tzw. spuściznę nie drukowaną po moim ojcu, to przedstawia się ona bardzo skromnie. Uważał, że po literacie powinny zostać tylko te utwory, które do druku przeznaczył, i w takiej postaci, w jakiej się ukazały. Niszczył więc wszelkie bruliony i korespondencji nie gromadził. Tym niemniej coś niecoś się zachowało i mamy spory zbiór wycinków z prasy (recenzje, nekrologi itp.). Istnieje wreszcie »żywe źródło« w postaci mojej matki, która wprawdzie jest dość podupadła na zdrowiu, ale bardzo chętnie Księdzu udostępni to, co posiada i w miarę możliwości udzieli informacji. Są również w Krakowie inne osoby, które dobrze mojego ojca znały...* Tak, ale to wszystko dotyczyło *zaś – potem...* Toteż potem byli sami zaskoczeni wynikami badań, choć, jak się okazało, synowie – societa krakowska, nie byli tacy przychylni moim eksploracjom. Zachowywali dystans, a nawet wielkopańskość, gdy się z nimi kontaktowałem i odwiedzałem na ul. Gontyny w szacownym domu rodzinnym. Któryś z nich powiedział wprost: *Wiemy, że ojciec miał różne zawirowania życiowe, nie stronił od alkoholu w młodości. To wystarczy.*

Róża *de domo* Popiel

By ciągnąć wątek dalej – inaczej droga pani Róża (*de domo* Popiel), żona, bardzo już krucha staruszka. Pobrali się, gdy Hubert miał 40 lat. Coś nie coś słyszała, ale nie wie wiele. Ogromnie jest mi wdzięczna, że się tym czasem zająłem, choć od niej samej niewiele się dowiedziałem. Za to co za przyjaźń! Traktowała mnie jak syna, a jak się jej coś przypomniało, to dotyczyło czasów późniejszych, ale pisała, donosiła. Mam kilkadziesiąt jej kartek, pisanych niewyraźnie trzęsącą się ręką na zrobionych przez kogoś ołówkiem linijkach, bardzo trudnych do odczytania. W końcu dyktowanych komuś... Okazją były także każde święta.

A więc owa eksploracja. Dała mi zdjęcia rodziców Huberta: wyraźna różnica wieku, ojciec nawet z wyglądu – *trunkowy*. Cenny załącznik do udokumentowania autobiografizmu pierwszych dramatów. Z kolei nie bez przejęcia penetrowałem zasoby Muzeum Historycznego teatru Starego: maszynopisy pierwszych sztuk z dopiskami i skreśleniami Solskiego. Dotarłem do Archiwum Lat Dawnych Miasta Krakowa – sfotografowałem arkusze ocen z Gimnazjum i Liceum im. Nowodworskiego, jak musiał najpierw powtarzać IV klasę, a w V otrzymał *nadzorcę odpowiedzialnego prof. c. k. szkoły realnej Augusta Jasińskiego*, a na końcu najgorsze stopnie *Sofoklesa chrześcijańskiego*, jak go przed wojną nazywano – z religii. Także z Krajowej Średniej Szkoły Rolniczej w Czernichowie, gdzie wylądował i którą skończył w 9 VIII 1898 roku: tam na wsi *zdarzyło* mu się dostać parę celujących, także z religii, ale pilność: *zadawalniająca*, zachowanie: *zaledwie*

odpowiednie. I z pobytu w Niemczech, mity o pochodzeniu szlacheckim... itd. itd. Jakaż to była gratka dla historyka – promotora, a dla mnie nadto dokumentacja treści wydedukowanych z analizy dramatów i próbek poetyckich. Mógłbym powiedzieć: rozszyfrowałem Rostworowskiego – człowieka i twórcę. Zebrałem podstawy do opracowania życia i twórczości, ale z wielu z nich, nigdy już nie wykorzystanych, trzeba było zrezygnować.

Recenzenci

Pracę zakończyłem i oddałem 20 września 1970 roku – jakieś trzy lata od otwarcia przewodu. By zrobić tylko rekonesans badawczy, znaleźć późniejsze refleksy odczytanej rzeczywistości historycznej i literackiej – przesunąłem *Autoportret Publicystyczny* do obszernych aneksów pracy, która miała 519 stron. Wspaniałe recenzje – no cóż, tak było – napisali prof. Irena Sławińska (KUL) i prof. Jerzy Ziomek (UAM). Ale egzaminy dopiero 17 czerwca 1971 roku: oceny – bardzo dobre, ha! Inny by się chwalił. Obawy promotora, co może się stać na egzaminie z marksizmu (egzaminatorzy z Wydziału Filozoficznego mogli *położyć* pytaniami: A jakie jest pana przekonanie, poglądy?), rozwiały się dzięki jego zabiegowi: poprosił kolegę, prof. Markiewicza, o orientacji marksistowskiej socjologa, ale... socjologa z PANU-u z Warszawy. Skoro taka figura została podsunięta – inni musieli ustąpić. Sam zaś Markiewicz opublikował podręczniki do marksizmu, które czytałem, jak również i inne, co wykorzystałem na egzaminie. Udało się dyskurs egzaminacyjny skierować na sprawy metodologii, czym był urzeczony. Wszystko poszło gładko. Sama obrona – według dziekana, jak mi powiedział: *bombowa*. Promocja: 2 czerwca 1972. Skończyła się... *droga przez mękę. Te Deum laudamus.*.

Pochwały profesora Ziomka

Prof. Jerzy Ziomek, którego recenzja była wprost laudacją (pono żydowskiego pochodzenia – widziałem w gabinecie parę wydań Biblii, miał na jej temat wykłady, wiedział, że jestem księdzem...) namawiał mnie, by zaraz zacząć pracę nad habilitacją z teorii literatury – pomoże! Podsuwał tematykę: estetyka – może poetyka kazania. Tak, ale po co? Co ja z teorią literatury zrobię w Kościele? – A tymczasem namówił mnie, by powołując się na niego – doktorat opublikować. Napisałem do Ossolineum we Wrocławiu, do Wydawnictwa Literackiego w Krakowie. W obu to samo: tak, chętnie, ale przygotować drugi tom – ciąg dalszy... Natomiast niezbyt mile wspominam kogoś, kto ten ogromny materiał wykorzystał... Przyjechał z Krakowa doktorant Jacek Popiel – dalekie popłóczki pani Róży – i prosił o udostępnienie na jakiś czas tak obszernego tekstu doktoratu. Dałem – pojechał, bardzo długo nie oddawał, a w 1990 roku opublikował swój doktorat: *Sztuka dramatyczna Karola Huberta Rostworowskiego*. I cóż z tego, że mnie cytował, postawił obok innego historyka literatury (Janusza Goślickiego)? Z mojej pracy dokumentację

miał prawie gotową. Nieco wcześniej popełnił artykuł w „Znaku" nic nie wspominając o pracy, którą wykorzystał. Gdy doniosłem o tym Jackowi Woźniakowskiemu, nie posiadał się z oburzenia – przepraszał.

Finis coronat opus. Napisał mi uroczysty list arcybiskup Baraniak: ...*Jestem bardzo zadowolony z tego, że Ksiądz Doktor tak dobrze wywiązał się ze swojego zadania i że – ku ogólnemu zadowoleniu – pomyślnym zdaniem doktoratu uwieńczył wieloletnie trudy naukowe. Szczerze gratuluję Księdzu Doktorowi zdobytego tytułu naukowego i równocześnie życzę, aby dalsza praca przynosiła dużo wewnętrznego zadowolenia a naszej Uczelni Duchownej spodziewany pożytek*...

Tadeusz Kudliński

A jednak jeszcze cymelia – *ob curiositatem.* Z takimi właśnie wtrętami piszę, by sobie naputać krytyki tych, którzy zechcieli to czytać.

Jak tu nie wspomnieć z tamtych czasów kontaktów – na ten przykład – z Tadeuszem Kudlińskim, animatorem Teatru Rapsodycznego w czasie wojny? Moja korespondencyjna zażyłość z Kudlińskim była długa, a zaczęła się już za czasów kulowskich. Przysyłał także swoje artykuliki i przemyślenia, które w swoim czasie odnotowałem. Np. zapowiadając swoje artykuły wspomnieniowe – także o Rostworowskim – w „Kierunkach" i „Życiu i Myśli", dodał: *Pozwalam sobie przypomnieć prośbę moją, by zechciał Pan przesłać mi do przeczytania studium Pańskie o teatrze religijnym*... Nie zawsze pewny, z kim mam do czynienia – uczulony przez promotora – dopiero po pewnym czasie ujawniałem, gdy okazało się to sensowne, że jestem księdzem. Odpisał 16 maja 1967 roku: ...*Oczywiście, fakt, że mój znajomy zdekonspirował się jako ksiądz, mógł mnie zapewne zaskoczyć, ale w niczym sprawy nie zmienia ani nie wpływa na znajomość naszą, powstałą na gruncie zainteresowań literackich i artystycznych. – Jestem wprawdzie anty-klerykałem, ale takim, za jakiego ogłaszał mnie kiedyś X. Infułat Machay, czcigodny mój towarzysz z czasów konspiracji. Zaliczam też do mych znajomych – dostojników Kościoła, jak X. Arcybiskup K. Wojtyła, którego kontakty – z czasów młodości świeckiej – z Teatrem Rapsodycznym są wystarczająco znane, choć mógłbym jeszcze sporo o nich opowiedzieć Do mych przyjaciół pozwalam sobie policzać X. Opata Zakonu Cystersów*... – ciągnął dalej. *Oczywiście oceniam duchownych w życiu świeckim zupełnie tak samo, jak nie-duchownych, to znaczy cieszę się z ich zalet, a obruszam na ich ludzkie ułomności. Wszyscyśmy grzeszni... Miło mi będzie słyszeć dalej o pracach i zadaniach Księdza, proszę też o wiadomości od czasu do czasu, szczególnie o osiągnięciach. – Pozostaje ze świeckim szacunkiem*...

Pod koniec roku jeden z listów coraz wyraźniej ujawniał zaufanie i jego szczerość: ...*Kiedy będziemy mogli zobaczyć się i porozmawiać w Krakowie?*

Tym bardziej ciekaw jestem na spotkanie, że z krótkiego listu nie umiem zorientować się w kierunkach badań przedsięwziętych przez księdza w pracy nad Rostworowskim. A interesuje mnie to wielce z uwagi na osobę »badanego« i autora. Ponadto nie mam pojęcia o metodach pracy naukowej... Zaczynał wynurzać się: *Męczą mnie – ze zrozumiałych względów – wspomnienia przeszłości coraz bardziej natrętne, męczą oczywiście jako człowieka piszącego czyli przyzwyczajonego, by zapisać to czym żyje pamięć i uczucie. Kłębią się wspomnienia, jedne zachodzą na drugie, tak że w rezultacie mam zbyt wiele pomysłów, by móc je zrealizować. No, ale to nieuniknione przywary starości...*

Stanisław Pigoń

Jeśli nie opowiadać o stareńkim prof. Stanisławie Pigoniu, z którym od razu podczas tego jedynego spotkania, długie godziny gwarzyliśmy jak starzy znajomi w gabinecie pełnym historycznych staroci, kontrastujących z jego prostotą i pokorą, jeśli nie wdzięcznie opowiedzieć, jak dał mi do wykorzystania swój *skarb* – opasłą tekę wycinków gazetowych, w których były i... *rostworościana* – to przynajmniej parę sygnałów o innych ciekawych osobistościach.

Wojciech Natanson

Wojciech Natanson... *Kopiąc fundament* głęboko, zapytałem go o ewentualne koneksje *Kajusa cezara Kaliguli* Rotworowskiego z dramatem Camusa o Kaliguli, co mi szeroko wyjaśnił podając nadto inny jego dramat bazujący na tym samym wydarzeniu, co *Niespodzianka Rostwora* i kończył list: *W programie warszawskiego Teatru Ludowego z okazji premiery «Przeprowadzki» ukazał się mój essay o K. H. Rostworowskim...* – napisze tam i mi go przyślą. – Zbigniew Mehoffer... Po i przed osobistym spotkaniem w jego domu (cóż za wystrój starodawnych salonów – jak w muzeum, pełno znaczącym dzieł malarskich na ścianach, cudowne *milieu* dla rozhoworów nie tylko na tematy historycznoliterackie...) wyjaśnia szereg szczegółów na temat użyczonych mi unikalnych materiałów, nawet rękopisu *Judasza*: *Pisze o tym, aby zawiadomić, że gdy Ksiądz tu zawita, początek charakterystyki Rostworowskiego będzie do dyspozycji.* – Prof. Karol Estreicher... Ponieważ pytałem o spowinowatego mecenasa i mentora Huberta, *Wielce Szanownemu i Wielebnemu Księdzu* (ha, jaka elegancja korespondencyjna, często u starożytnych krakauerów przeze mnie spotykana!) wyjaśnia: *Niemal wszystkie papiery po śp. Pusłowskim (tj. Jego rękopisy etc.) przekazałem dr Markowi Rostworowskiemu. Zapytam go jeszcze raz, czy nie ma tam jakichś materiałów interesujących Wielebnego Księdza. Jeżeli się coś znajdzie, pozwolę sobie zawiadomić. Łączę wyrazy głębokiego szacunku...* – *Satis*, niech to wystarczy.

Prof. Pigoń wydał swoją autobiografię pod tytułem: *Z Komborni w świat.* Parafrazując go mógłbym napisać: z komunistycznego Poznania – w świat,

do USA. *Rekolekcje* amerykańskie... Chyba nie postponuję tego pojęcia traktując je metaforycznie jako zestaw zupełnie nowych doświadczeń i przemyśleń. Trzy pobyty w Ameryce – każdy w zupełnie innych okolicznościach.

Ameryka...

Dla chleba, Panie, dla chleba... W 1972 roku w czerwcu, po doktoracie, dzięki pomocy ks. Władysława Kołodzieja, który tam miał krewnych – wyjazd na wakacyjną *wypomóżkę* na zaproszenie proboszcza w Detroit (następnego roku pojechał tam ks. dr Stanisław Rumiński – proboszcz już więcej nie zaprosił nikogo). Oczywiście najpierw były starania o paszport – *spowiedź* w Urzędzie do spraw Wyznań. Wtedy zrozumiałem, jak bardzo komuniści interesowali się... kaznodziejstwem. Urzędas wmawiał mi, że ja chyba uczę (już byłem homiletą), jak budzić emocje, dynamizować i angażować ludzi do działania, przekonywać, podobnie jak podczas rozprawy sądowej robi to adwokat czy prokurator. No cóż, musiałem go *katechizować*. Widać zaopiniował mnie pozytywnie, skoro paszport wydali. Równocześnie były starania o bilet na... frachtowiec – bo taniej – który wraz z ładunkiem zabierał 12 pasażerów. W ten sposób wypływając z Gdyni w mój dziewiczy rejs – znalazłem się w trochę innej Polsce. Współpasażerowie zaraz wyznaczyli mnie do wygłoszenia przemówienia w ich imieniu podczas symbolicznego przywitania lampką szampana, a jakże, przed pierwszym posiłkiem (a że się to tak bardzo spodobało, musiałem przemówić i na pożegnanie przed wpłynięciem do portu nowojorskiego). Na szczęście w czasie tych dwu tygodni zawinął tylko do francuskiego Hawru, by coś wyładować i załadować.

Morskie przygody

Tamże była zabawna sytuacja. Płynęła emigrująca rodzina spod Rzeszowa, muzyk, student Marek (zabył nazwiska...) grający na klarino, by tam sprzątaniem ulic zdobyć pieniądze na dokształcanie się we Francji, emigrująca matka z córką z Torunia i kapitan żeglugi wielkiej, Eugeniusz Daszkowski, rektor Szkoły Morskiej w Szczecinie – literat marynista. *Indulgentiam peto* – chciałbym o każdym coś powiedzieć.

Z tym ostatnim nawiązała się wielka zażyłość – także potem, po powrocie. Chodziliśmy po zakamarkach statku, czego innym nie pozwalano. Dniami godzinami rozmawialiśmy. A że zawsze miał pełną skrzynkę piwa w swej kajucie – nie powiem! Podczas monotonnego płynięcia przez Atlantyk, zwołano zebranie komórki partyjnej, na której on miał dać sprawozdanie z ostatniego plenum, na które wybrało szkolne gremium. *Co ja mam im powiedzieć?* – mnie pytał!! W czasie zebrania, w atlantycki wieczór, ja z pasażerami zabawiałem się przy dźwiękach muzyki z magnetofonu. I wtedy miłe dziewczątko, córka bosmana mająca prawo płynąć z ojcem – jak ta Zosia prosząca w *Panu Tadeuszu* Jankiela, by zagrał na weselu – mnie prosiła, bym z nią zatańczył. I stało się ku uciesze wszystkich. Aż tu nagle

chief – oficer od spraw gospodarczych i pasażerów – kręcił się mrugając do mnie, bym ukradkiem do niego wyszedł: *Zebranie się skończyło i kapitan prosi na drinka do siebie.* No i to się odbyło: by nie mówić trefnych słów (*ksiądz*), tytułowali mnie *doktorze*, a że szły kawały powyżej setnego numeru, rozochoceni prosili: *Doktorze, wy też macie na pewno zawodowe kawały, powiedzcie jakiś.* I na gwałt musiałem sobie coś z tej materii przypomnieć. Współpasażerowie robili mi wyrzuty, że ich zostawiłem. Gdy zaś w Hawrze mogliśmy zejść ze statku i pójść do miasta – gremialnie prosili, bym szedł z nimi, a byłem już uprzednio umówiony z Daszkowskim... On za żadne skarby nie chciał iść w grupie – jak to musieli robić Rosjanie. Więc kluczyłem długo nie schodząc, a gdy kapitan ocenił, że przy trapie nikogo nie widzi – wyszliśmy razem... spotykając ku jego oburzeniu gromadkę pasażerów czekającą na nas w porcie.

Pani z Torunia – uratowałem życie: tak powiedziała. Po silnym sztormie, gdy jeszcze martwa fala wolno przechylała statek, ożyła i blada, słaba stanęła w drzwiach messy. *Niech pani tam nie stoi, nie trzyma się futryny!* – ostrzegł jeden z oficerów, którzy z nami jedli. *Czemu??* – *Bo przy większym przechyle drzwi mogą wypaść, przecież trzeszczą!* Wtedy było głośne *Och* – puściła drzwi i straciwszy równowagę omal leciała w kierunku naszych stolików trafiając... w moje objęcia. Ha! – Bidulka, dziewczyna spod Rzeszowa, za kuuupę dolarów podczas rejsu telefonowała do chłopaka, którego zostawiła w kraju. Potem *chief* pękając ze śmiechu mi opowiadał, jak ta rozmowa wyglądała. Nic mu nie powiedziała za te ciężkie dolary, tylko płakała zachęcając go: *No, mów!* – Marek zaś, chcąc się wkupić w łaski jakiegoś marynarza, by mu wypożyczył magnetofon, pił z nimi, a że głowa nie taka, *Doktorze, trąbką nie mógł trafić do ust, tylko przykładał gdzieś do ucha...* – Tak, ksiądz na polskoludowym statku musiał wszystko wiedzieć. Rozstawaliśmy się tu oto tam z łezkami, a przy pożegnalnym szampanie trzeba było czekać, aż biedna skacowana studencina wstanie z koi. Świadomie nie patrzałem w jego stronę, tylko kątem oka zauważyłem, że zbliżywszy kieliszek do ust – poczuł alkohol i wybiegł w wiadomym celu na boczek. Ot, nasza cała polska rzeczywistość – na wodach eksterytorialnych.

Pierwsze „łyki Ameryki"

Pierwsze kroki na wolnej ziemi amerykańskiej... *Pierwsze łyki Ameryki* podczas tego ponad trzymiesięcznego pobytu w Stanach. To była obok innych – lekcja poglądowa tolerancji, szukania najpierw tego, co łączy, a nie ten nasz czasem zacietrzewiały przesadny pryncypializm, ostracyzm w stosunkach międzyludzkich. Rozwiewały się nasze mity o Ameryce, które ktoś, będący tam na corocznym stypendium językowym wyrażał oburzeniem: *W Ameryce tego nie ma, to by się nie zdarzyło!* Tymczasem zdarzało się,

zdarzało. Co więcej, nasuwał mi się truizm: nie ma idealnego ustroju na świecie. A zarazem ta ich duma, pewność siebie: u nas wszystko najlepsze, jak i... Ruscy gawarili. Mają takie powiedzenie: *Love it or leave it* – pokochaj... Amerykę albo s... Z jakąkolwiek krytyką trzeba było być ostrożnym. Kawałów na Polaków także się nasłuchałem. Ale – chyba słusznie – ich często stosowaną metodą powtarzałem sobie: *Take it easy* – nie przejmuj się. Albo jak w refrenie powtarza się w jednym z przebojów: *Don't worry, be happy!* Najtrudniej może było pogodzić się z płytkością masowej kultury, której reprezentantem – jaka ilość kanałów telewizyjnych!! – właśnie telewizja. Poważnej muzyki trzeba dobrze szukać – dziś dla mnie to nie nowina. Chciałem więcej napisać o swych przemyśleniach i doświadczeniach, ale poza późniejszymi relacjami z następnego pobytu, o którym za chwilę, nigdy nie zdecydowałem się na to: u nas komunistyczne zniewolenie, a to byłaby woda na komunistyczny młyn, a z drugiej strony tyle doznanej życzliwości i to, że tam, w pozytywnym tego słowa znaczeniu, udało mi się do nich dostosować, nawiązywać i *pluralistyczne* kontakty i zażyłości...

Zdziwienia

Jako księdza uderzyła mnie – poza ogólnie znanymi zjawiskami – swoboda obyczajowa. Za jakiś miesiąc wchodząc do zakrystii, obok której prowadziły schody do szkoły parafialnej, na tablicy ogłoszeń widzę dodatkowo przyczepiony wycinek z periodyku erotycznego. Pokazuję to spotkanej sister Pauline, dyrektorce. Odpina wycinek pytając, jak się dziś czuję... Zacząłem poznawanie tego, co do nas przyszło niedawno – i kształtować w sobie pewien pogląd na współczesność. Natomiast po powrocie do Polski na różnych spotkaniach, zwłaszcza z duchownymi, z całym przekonaniem mówiłem, że – wbrew utartym schematom – tam w pewnym sensie trudniej być księdzem i ewangelizować. By zakończyć ten wątek wspomnę, że gdy po paru latach – wylądowawszy na lotnisku Kennedy'ego – wsiadaliśmy z biskupem Groblickim do autobusu i tam czekaliśmy na resztę biskupów obserwując otoczenie, przelewające się tłumy, zapytał mnie: *Powiedz mi, jak tym ludziom głosić Chrystusa?* – Wspólna zaduma, którą z całą swoją pokorą za chwilę rozładował: *Zdzisiek, daj zapalić.* Tymczasem wtedy, gdy byłem pierwszy raz, *nauki Ameryki* zacząłem pobierać u dr Scheffs wywodzącego się z Poznania. Zwiedzając Babilon – przepraszam – Manhattan, powiedział: *Chcesz wiedzieć, co tych ludzi tu łączy? – Zapamiętaj sobie: wolność robienia pieniędzy! I schowaj sobie głęboko twój doktorat. Tu liczy się konto bankowe.*

Detroit spotkanie z Kościołem

Detroit – wreszcie spotkanie z Kościołem. Urok bezpośredniości, żywego kontaktu, bratania się proboszcza z wiernymi. Dziś już chyba znany sposób kontaktowania się i rozmów z wychodzącymi z kościoła. I homilie –

dotychczas znane mi z publikacji: krótkie, treściwe, zakotwiczone w problemach życia codziennego. W tej eksplozji informacyjnej – słuszna formuła: przecież moje homiletyczne dumania były już od paru lat zaawansowane. *Komunikacyjna*, kontaktowa formuła głoszenia homilii była mi bliska – tu się w tym ugruntowałem. Oczywiście wewnętrznie i zżymałem się, bo proboszcz gada ze mną w drodze do kościoła, a tam bierze ichnią „Bibliotekę Kaznodziejską" (rety, ile tam takich pomocy!) i czyta – sam nawet nie przeczytawszy sobie przedtem. A poza tym w Kościele też *frontem do klienta*: chce grupka pań nabożeństwa do św. Zyty – proszę bardzo.

Ale nie chcąc tu otworzyć wprost nowego rozdziału, pomijam wiele z moich obserwacji i doświadczeń. Przejdę do sygnalizowania homiletycznych wtajemniczeń. Nie miałem złudzeń, że podróżowanie kosztuje, więc po paruletniej korespondencji kontaktowałem się jedynie telefonicznie lub korespondencyjnie z poznanymi osobami. Natomiast pod Detroit w Bloomfield Hills był instytut zaawansowanych studiów pastoralnych, którym kierował człowiek, którego niezmiernie ceniłem: dr Reuel Howe – pastor, wszechstronnie wykształcony naukowiec. Pamiętam, jak pierwszy raz zgłaszałem się telefonicznie z góry przepraszając za możliwe potknięcia językowe. Z całą pokorą korygował: to my jesteśmy rozleniwieni powszechną możliwością porozumiewania się po angielsku, co zawęża znajomość innych narodów i kultur. Przywoził mnie do instytutu, zapraszał na obiady – oczywiście na angielską modłę: do restauracji. Nie zapomnę pożegnania: prowadząc do samochodu, zaproponował wstąpienie do zboru. Chyba zauważył moje mimowolne rozglądnięcie się za jakimś punktem centralnym... Poprosił, byśmy usiedli w ławce, a tam: może zmówimy wspólnie *Our Father*... Ostatnie jego słowa przed odjazdem: *Zobaczmy się jeszcze kiedyś tu – albo Tam.* Pozostaje pod wrażeniem jego głębokiej – bez żadnej ostentacji, może nawet skrywanej – religijności, no wiedzy, otwartości. Tak jak pisał osobowości dialogowej – wszystkie książki jego otrzymywałem – tak sam był jej ucieleśnieniem. Jego myśl pastoralną włączyłem w moje przemyślenia, o czym pisałem. Kim innym był w dalekim Denver – prof. Frank Dance: znów i długi kontakt korespondencyjny, i obdarowanie książkami na temat komunikacji międzyludzkiej, i nawet komentowanie moich pierwszych tekstów dlań tłumaczonych. Wypadnie jeszcze do tych spraw wrócić. W każdym razie wypływałem Batorym z paką książek, których mi przymnożył student pochodzący z Polski – okaz człowieka, o dziwo, nie zaadaptowanego do życia w Ameryce, jakich spotykałem wielu. Ale obiecałem, że nie będę się więcej rozwodził nad tymi doświadczeniami amerykańskimi, które odbiegają od tematyki niniejszych świątobliwych *Studiów*, w tym i o zbyt wczesnych, soboro-

wych eksperymentach w kościołach. A że po powrocie mogłem sobie kupić trochę mebli, sprowadziłem dobrą maszynę niemiecką do pisania, to inna rzecz. Jak już wspomniałem, na pytanie: *Auta się nie dorobiłeś?* – przedtem i potem musiałem odpowiadać, że nie...

1976 Philadelphia

1976 rok – *American Revolution Bicentennial 1776-1976*, jak brzmiały napisy. I *Forty-First International Eucharistic Congress – Philadelphia – August 1976*. A przy okazji wizytowanie ośrodków polonijnych – wyjeżdża oficjalna delegacja Episkopatu Polski (20 biskupów z kard. Wojtyłą na czele), a ks. Alojzy Orszulik włącza mnie z ks. Jerzym Dąbrowskim do grona sekretarzy delegacji, więc jest nas trzech, ja miałem zajmować się głównie dokumentacją wydarzeń. *Staraj się o paszport!* – polecił Alojzy – *wyjeżdżamy wcześniej, w lipcu, z kardynałem.*

Byłem wtedy adiunktem w katedrze homiletyki ATK. Jakiś pułkownik z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wezwał mnie na rozmowę w sprawie paszportu. Rozmowa była ogólnikowa, jeśli pominąć jego *troskliwe* uwagi, że to jest uczelnia państwowa, że może ułatwić habilitację, a po co wynajmować pokój w Warszawie – może przydzielić mieszkanie, a i takie napomknienia, które wyglądały na propozycje niemoralne... Za wszystko podziękowałem, ale bez trudu mogłem odebrać paszport w Poznaniu.

Wylecieliśmy samolotem do Nowego Jorku. W drodze nasze biuro pracowało. Kardynał coś pisał, czytał – Orszulik przynosił mi cos do tłumaczenia, przepisania na cudownej podróżnej maszynie. By znów się nie rozwodzić, staram się odnotować ważniejsze etapy.

Kardynała rozchwytywała Polonia – wbrew planom innym ośrodkom *podebrali* go bostończycy, bo tam na uniwersytecie miał mieć wykład. Sekretarze pojechali do Orchard Lake przygotowywać przyszłe spotkania, potem do Filadelfii, gdzie delegacja miała zamieszkać w St. Charles Seminary. Po przylocie reszty delegacji do Nowego Jorku, symboliczna wizyta przy grobie zamęczonego w ZSRR biskupa polskiego, co nagłośnił „The New York Times". Kardynał się zaniepokoił – nawet rozważano jakieś dementi politycznie podjudzająco sformułowanej relacji. Znów nauka – tłumaczą: nie ma żadnych szans walka z tym potentatem, może jedynie strasznie drogie płatne ogłoszenie... – Gdy byliśmy już w komplecie w Filadelfii – wizyta u kard. Króla. Potem cały cykl wydarzeń kongresowych, z których – pomijając bardzo wiele – wspomnę o wielkim wrażeniu, jakie na wszystkich zrobiła Matka Teresa, biskup Helder Camara... Tak chciałoby się wejść w szczegóły... Samo zaś zakończenie kongresu chciał ze mną oglądać w telewizji mój *przełożony* z komisji Społecznych Środków Przekazu, biskup Bednorz. Stąd nie byliśmy na stadionie, tylko w seminarium przy telewizorze.

Po jakiejś protestanckiej audycji połączyli się ze stadionem, gdy przybył prezydent Nixon. Wszystko komentował słynny tam biskup Fulton Sheen. Minęło półtora godziny – skończyła się transmisja wyjaśnieniem, że taki czas był zamówiony. Och, ileż to *łyków Ameryki* wtedy wypiłem, a zwłaszcza problem Polonii zarysował mi się bardzo wyraźnie. Dzieliliśmy się swymi spostrzeżeniami z często widywanym Jerzym Turowiczem.

Potem przelot do Detroit – zamieszkanie w Orchard Lake. Tu liczne narady z kierownictwem, wyraźne prośby o przysyłanie do pomocy księży z Polski, a szczególnie kleryków. Nie wiedziałem, że i ja byłem brany *na tapetę*. Alojzy enigmatycznie mnie podpytywał, czy chcę tu zostać, wrócić... Odmówiłem: mam obowiązki w kraju, zresztą nigdy nie zabiegałem o jakieś *porty*, do których mógłbym znów przypłynąć. I może jeszcze taki szczegół z Orchard Lake: ks. prof. Chrobot, socjolog, w czasie dyskusji po swym *speechu* o transformacjach podejścia do emigrantów (najpierw wchłanianie – *melting pot*, aktualnie koncepcja *mozaiki* z zachowaniem własnych korzeni) powiedział: *Mnie bliższy jest los Murzyna tutaj, niż robotnika w starej ojczyźnie, bo ja jestem Amerykanin, choć polskiego pochodzenia.* Zauważyłem, że to zrobiło duże wrażenie i chyba spowodowało zmianę w zwracaniu się Kardynała do Polonusów podczas liturgii.

Polonia

W odróżnieniu od zwrotów typu *Drodzy Polacy* – teraz: *Wy, Amerykanie polskiego pochodzenia. Swoistym wydarzeniem było otwarte spotkanie z Polonią, na które zjechało się wiele inteligencji, zwłaszcza z sąsiedniej Kanady. Prowadził je Kardynał prosząc w pewnych sytuacjach o odpowiedź na pytanie członka odpowiedniej komisji Episkopatu. A pytania były różne, często kłopotliwe... Dlaczego Episkopat niczego nie zrobił, by upamiętnić Katyń??* Kardynał Wojtyła poprosił o następne pytanie z sali obiecując odpowiedzieć łącznie z innymi poruszonymi zagadnieniami, a ten problem świadomie *zgubił*, acz kto miał uszy do słuchania – znalazł odpowiedź. Ja zaś wszystko nagrywałem (chodziłem stale z magnetofonem), a o zdobycie tych nagrań tak wtedy, jak i przez kilka następnych lat zabiegał ks. Peszkowski chcąc napisać następną książkę, jako że w tej *produkcji* był biegły i zapobiegliwy...

Dla ciekawości: wystąpił też biskup Arthur Krawczyk (polskiego pochodzenia) tłumacząc jakoś nieobecność kard. Deardena, co Polonusy przyjęły z wyraźnym niesmakiem, a nawet oburzeniem. Zresztą podczas tych trzech dni Dearden nie miał czasu, by przyjąć polskiego Kardynała... Potem Doylestown – Amerykańska Częstochowa tonąca w długach, więc błaganie biskupów o poparcie przy różnych możliwych okazjach. Polonijne Chicago, gdzie zaprzyjaźniłem się – a trwa to do dziś – z proboszczem parafii, ks.

Tadeuszem Makuchem, do której na nocleg przydzielono sufragana z Wrocławia i mnie. Następnie delegacja się podzieliła – każdy z biskupów otrzymał propozycję odwiedzenia mniejszych ośrodków polonijnych. Przyłączono mnie, co oczywiste, do biskupa Przykuckiego. Byliśmy w Pittsburghu, w Altoona-Johnstown (diecezja Greensburg). Na poszerzenie kontaktów i wtajemniczeń w teorię komunikacji międzyludzkiej nie było czasu – były konkrety, wydarzenia, obserwacje. I tak mógłbym słuchacza zagadać, a czytającego może zanudzić tą – dla mnie – lekcją Ameryki i wolnego, by nie powiedzieć *swawolnego* życia. Z jednej strony nauka tolerancji, bezpośredniości w kontaktach międzyludzkich itp. – z drugiej presja *komercji*, płytkość popkultury. Ale dziś my to omal wszystko *mamy*, znamy...

Pokusa Orchard Lake

A jednak później stało się coś dla mnie znaczącego. Jeśli nie przypominać propozycji ks. rektora Krąpca, to o tym, co mnie zrazu zbulwersowało i bardzo zakłopotało była rozmowa z biskupem Przykuckim: *Kardynał Wojtyła prosi Arcybiskupa, by ciebie jako pastoralistę i polonistę zwolnił i zgodził się na twoją pracę w Orchard Lake. Byłeś, to wszystko wiesz, a Arcybiskup nie chce niczego odmówić kardynałowi...* – Poprosiłem o dwa dni do namysłu, bo nie wyobrażałem sobie, że mam opuścić moje poznańskie i warszawskie środowisko pracy, tyle projektów do zrealizowania... Ale skoro Arcybiskup tak to widzi, to widocznie tak Bóg chce. Zgodziłem się. Na najbliższym zebraniu grona u Kardynała homiletów planujących program kaznodziejski Episkopatu, zdziwił się i zapytał: *Ksiądz jeszcze tu??– Tak, tak...* – powiedziałem znacząco. Milczał – potem dodał: *Rozumiem, rozumiem... Tam były tylko słowa!* Nie miałem wątpliwości: dla niektórych koryfeuszy polonijnych *polonijność* jest tylko *smaczkiem* by enigmatycznie nie powiedzieć: *wabikiem*. Jak mogą przyjąć Polaka, którego przysyła Episkopat? – Najlepiej to skomentował znany mi z pobytu w Detroit kochany, samotny staruszek piszący nawet wiersze po polsku – Bolesław Kabat, korespondujący ze mną aż do swej śmierci: *Niech ksiądz tam nie przyjeżdża, oni księdza zagryzą!*

Jeszcze 25 maja 1977 roku napisał do mnie na polecenie Kardynała Jurek Dąbrowski, pracujący już w sekretariacie Episkopatu, podczas ostatniego pobytu w USA często mnie uspokajający: rób, co polecił Orszulik – on *boss. ...Nie potrafię niczego dodać, o czym już wiesz. 29 marca br. przekazałem twoje personalia do Orchard Lake celem uzyskania zaproszeń jako podkładek do wystąpienia o paszport i wizę. Wiem na pewno, że personalia w Orchard Lake są, bo widziałem ich kserokopie u prałata Peszkowskiego, gdy był przed paroma dniami w Warszawie. Zachęciłem go też, by sprawy zaproszenia wdrożyli czym prędzej, bo zwłoka stawia Ciebie w niejasnej*

sytuacji. Niezależnie od tej zachęty wysłałem 23 maja br. pismo ponaglające do Prezydenta-Rektora Orchard Lake. Przypuszczam, że powodem zwłoki jest zmiana kierownictwa w Orchard Lake, sądzę jednak, że na moje ostatnie pismo otrzymamy odpowiedź... Thanks God stało się inaczej. Jednakże wspomnienia owego *zwizytowania Polonii*, ich ośrodków duszpasterskich, często szpitali i domów starców – w zaskakujący mnie sposób parę razy wróciły. Kard. Wojtyła i mi przysyłał kopie listów, życzeń świątecznych posyłanych tam w imieniu delegacji Episkopatu z odręcznym dopiskiem: *Pozwoliłem sobie w imieniu Delegacji posłać...*

Trzeci raz Ameryka

Rok 1989 – trzeci, znów jakże odmienny wyjazd do USA! Wszystko potoczyło się szybko: wezwanie do arcybiskupa Stroby – propozycja wyjazdu z grupą wykładowców seminaryjnych, moje wahanie i pokpiwanie z tego, bowiem wydawało mi się, że np. biblista byłby właściwszym kandydatem. – Odlot, a sam kurs trwał od 29 czerwca do 18 sierpnia z pochwałą Ojca Świętego, a na miejscu opieką kard. Josepha Bernardina, pomocną dłonią biskupa Alfreda L. Abramowicza i innych, a samym dziekanem kursu, Sherwinem, władzami Spertus College i organizacjami żydowskimi i polonijno-żydowskim z drugiej strony. Mieszkaliśmy w polonijnych probostwach – ja u zaprzyjaźnionego ks. Makucha w dzielnicy Cicero, o co sam zabiegał. Stamtąd codzienne dojazdy autobusem i kolejką nad-pod-naziemną do samego centrum, w ten sposób bardzo cenne dla mnie znów poznawanie codziennego życia Amerykanów. Natomiast w parafiach nie zdradzano, na jakie to *studia* przyjechali księża z Polski, zakazano również udzielania wszelkich wywiadów z obawy o jakieś manifestacje, co okazało się płonne.

Przeglądam w tej chwili całą półkę z książkami o judaizmie, wtedy przywiezionymi. Co prawda jest Byrona Sherwina w serii Makers of Contemporary Theology resume filozofii i teologii żydowskiej wspaniałego myśliciela *Abraham Joushua Heschel* (Atlanta 1979), ale nie ma opasłego tomu z moimi zakreśleniami Heschela już z samym tytułem tak charakterystycznym: *God in Search for Man* – Bóg szuka człowieka! Ktoś podiwanił, a niech go... Na tę półkę wstawiłem jak relikwie po małym Dawidku *Pamiętnik Dawida Rubinowicza* (Warszawa 1960) z facsimile zapisanych przez niego stron przedwojennego polskiego zeszytu, co mi przypomina wojenną gehennę – jego tragiczną, moją zaś jedynie dramatyczną. I stoi znaczący tom – pokłosie studium *żywego judaizmu – Dzieci jednego Boga. Praca zbiorowa uczestników seminarium naukowego w Spertus College of Judaica w Chicago 1989* (Warszawa 1991) z moim tekstem: *Próba refleksji nad homiletyką żydowską* i – co ważne – mottem: *Mojemu rówieśnikowi w czasie wojny, zabitemu w getcie chłopcu żydowskiemu, którego ojciec przed*

swoją śmiercią dał mi ostatnią po nim pamiątkę – tę pracę poświęcam. A była to skórzana portmonetka w kształcie rybki z przedwojennymi, zda się nie używanymi, błyszczącymi grosikami. Tak to wydarzenie, jak i fakt zamknięcia nas, wysiedlonych z Poznania w bóżnicy w Brzesku, wykorzystałem, gdy znaleźliśmy się pierwszy raz w bóżnicy amerykańskiej. Chcąc podkreślić pewną wspólnotę wojennych doświadczeń – w wypowiedzi do zgromadzonych żydów retorycznie pytałem: ta jest pierwszą moją bytnością, czy tamta?

Sympatia do starszych braci w wierze

Nie taję i wyraźnie wyznaję moją – nazwijmy to – *sympatię* do starszych braci w wierze tak ze względu na wspólne religijne korzenie, jak i ze względu na ich wojenną tragedię, którą jako dzieciak obserwowałem i może czasem nad widzianymi zdarzeniami... zapłakałem. Oni zaś – jak to słusznie określali – *pluralizm w pluralizmie* (amerykańskim), są podzieleni na różne odłamy, co sami zauważaliśmy. I czy nie opowiedzieć o pierwszym zaskoczeniu, jak zaproszeni do reformowanych (inaczej było potem u ortodoksów), uczestniczyliśmy w ich wieczerzy paschalnej i nabożeństwie szabatowym, a potem w wielu innych? Było to 14 lipca lub... – jak czytałem w *ogłoszeniach parafialnych* Emanuel Congregation – *12 TAMMUZ 5749.* Zadawałem sobie pytanie: gdzie ja jestem, co to się dzieje?? Modlitwa nad chlebem – jego rozdzielanie, zamaczanie w sosie, spożycie na stojąco. Modlitwa nad winem rozlanym w kieliszkach – wypicie. I dalej koszerne kurczaki i jakieś potrawy, które każdy sam sobie brał z zastawionego na boku stołu. Obdarzenie nas książką (*The Life of Covennant,* Chicago 1986) uczonego rabina z indywidualnie wpisywaną dedykacją: *To a new Friend, in friendship – Hermann E. Schaalman.* Nabożeństwo w części świątynnej – no, takie nasze *nabożeństwo słowa*, choć zapalona lampka przed schowkiem, jak tabernakulum, z czymś się kojarzyła: tam był zwój Pisma św. i potem nim błogosławienie. Siedziałem obok Żydówki, która usłużnie mi pokazywała, w którym miejscu angielskiego modlitewnika (*The Passover Celebration)* szukać aktualnych modlitw. Oczywiście kazanie, ogłoszenia – powtórzenie powitania z ogłoszeń: *We welcome this evening a group of seminary professors of the Roman Catholic Church in Poland, who are visiting under the combined auspices of the Archdiocese of Chicago and Spertus College of Judaica. The professors are here to study the living Judaism* – Kto czyta, nie błądzi, zwłaszcza gdy zna angielski. Przy jednej z następnych wizyt w bóżnicy innego odłamu, nie było wieczerzy, za to było spotkanie w sali w budynku bóżnicy. Tam zgromadzeni nagle zapragnęli, by każdy osobiście coś o sobie powiedział. Rabin wskazał na mnie, siedzącego z brzegu. Więc wyszedłem, wspomniałem o owej *pierwszej* bytności w bóżnicy w Brzesku,

o pamiątce po rówieśniku, w końcu coś jeszcze o sobie. Byli zachwyceni – oni, bo niektórzy koledzy mruczeli: coś zrobił? *Co ja mam powiedzieć? Nie mam takiej gadki!* Myliłby się ten, kto by przypuszczał, że wspominam to wszystko tak życzliwie, bo siedzący obok rabin Szabat (urodzony w Polsce, ale już języka nieznający) przy stole biesiadnym po pewnej konferencji polonijno-żydowsko-katolickiej zauważył, że zapomniałem tytoniu do fajki, więc zaraz kazał kelnerowi kupić ulubiony przeze mnie tytoń.

Spertus College of Judaica

Spertus College of Judaica – piękny gmach przy okazałej Michigan Avenue. Wewnątrz małe muzeum holocaustu, gdzie mogłem się mądrzyć podczas oprowadzania nas i dopowiadać co nieco do wydarzeń zobrazowanych na dużych fotogramach. Okazała biblioteka i nowoczesna – według naszych standardów – główna sala wykładowa. Dokładny grafik wykładów, biogram wykładowców – częściowo ekumenicznych (niektórzy sprowadzeni nawet z Jerozolimy) – i tematów. Pierwszy wykład dziekana, Byrona Sherwina, bardzo inteligentnego człowieka, oczytanego i znającego języki obce – oczywiście w stylu amerykańskim, a więc musiały być i dżoki, a czując nasze zaskoczenie, zaraz zwrócił uwagę, że dla teologii nie są konieczne założenia tylko arystotelesowskiej filozofii. Teologia żydowska jest narracyjna! Więc i zaskoczenie: wszechobecność przypowieści, nawet w toku wykładów! Podejmując wykład o judaistycznej teologii, zaczął właśnie od quasi *kawału* – przypowieści. Do pewnej swatki przyszedł bogaty młodzian, by mu znalazła partnerkę. Zaprosiła go do bardzo inteligentnej dziewczyny, ale że był nieśmiały, martwił się, jak ma z nią zacząć rozmowę. Za jej radą zapisał sobie na mankiecie koszuli trzy słowa: *miłość – rodzina – filozofia*. Gdy usiedli do rodzinnego stołu, patrzy na pierwsze hasło: *love*. Więc pyta ją: *Czy lubisz zupę – Nie bardzo...* Więc drugie hasło: *family*. Pyta: *Masz brata? – Nie*. Pozostało ostatnie: *philosophy*. Więc próbuje dalej nawiązać dialog: *A gdybyś miała brata, czy on mógłby lubić zupę?* – To wszystko było Sherwinowi potrzebne, by rozwinąć temat (szkoda, że trudno tutaj szerzej to podać) i odpowiednio przyporządkować te właśnie hasła jako podstawy teologii judaizmu – przymierze, tj. miłość Boga, Tora, Izrael – Lud Wybrany.

Tak więc w skrócie poznawaliśmy całokształt judaizmu (nawet muzykę!), były pytania, dyskusje, z rzadka kontrowersyjne, przy czym z założenia wyłączono sporne, historyczno-socjologiczne zaszłości. Wspaniała dawka wiedzy dającej wiele do myślenia. Ja byłem urzeczony. Gdybyśmy tak dyskusje o Żydach zaczynali od wspólnych religijnych korzeni... A ponieważ kurs toczył się w takiej, przyjaznej atmosferze, pod koniec zaczęły się wizyty różnych oficieli, a przede wszystkim prasy i telewizji.

Kurs kończył się przyjęciem w ogrodach kard. Bernardina (on sam w białej koszuli – bez żadnych insygniów, bardzo bezpośredni, *kontaktowy*) dla wielu gości – oraz nieszporami w święto Wniebowzięcia w jednym z kościołów polonijnych, z udziałem *sztabu* Spertus College i oczywiście prasy, telewizji. Kaznodzieja zaś – co mi pochlebia – przypomniał, co to... *jeden z uczestników kursu* mówił w bóżnicy o owej *pierwszej bytności*, o pamiątce po małym Żydku... Naturalnie to jest *news* – ciekawostka pożądana w mediach. To podchwycili. Przeglądam na chybcika wycinki z niektórych wyłapanych gazet – same tytuły mówiły wszystko: *A seminar in Chicago build bridges in knowledge – Seminar praised for expanding Jewish, Catholic perspective – Polish priests end Jewish study here – Polish priests study Judaism.* „The New York Times" (August 15, 1989) zaś w artykule *Many doors Open as Polish Priests Study Judaism* m.in. napisał pod śródtytułem *As It Should Be. One Polish priest had last been in synagogue as a child .. The Nazis used the Jewish building as a holding pen where they herded the Christian villagers. He was now in a synagogue to pray »as it should be«, he added.* – No, można podziwiać, jak oni to zrelacjonowali. Ja sam po powrocie napisałem m.in. w „Przewodniku Katolickim" (1990, nr 4): *Braterskie spotkanie z plemieniem Abrahama.* Mówiłem też o kursie na różnych spotkaniach, także na posiedzeniu Towarzystwa Polsko-Izraelskiego u jezuitów poznańskich.

Homileta

Wróćmy do chronologii, by opowiedzieć o najważniejszym – w końcu jestem homiletą! A więc rok 1976 – *Sturm und Drangperiode...* Zaczyna poważnie chorować mój czcigodny poprzednik, ks. Infułat Nikodem Mendlewski. 25 września otrzymuję pierwszy dekret od arcybiskupa Baraniaka: mam porozumieć się z ks. rektorem, Władysławem Pawelczakiem – zleca mi wykłady z homiletyki na IV i V kursie w roku akademickim 1967/68 z dniem 15 października. Dowiedziałem się, że ks. Infułat liczy, że poczuje się lepiej i dokończy formację diakonów. Staje się inaczej: 14 listopada otrzymuję następny dekret: z dnia na dzień... od jutra, 15 listopada, zleca mi diakonów (potem zgodził się, bym w roku akademickim 1973/74 czasowo przyszedł z pomocą Seminarium Księży Chrystusowców i podjął i tam wykłady).

Ks. Rektor proroczo powiedział: nie ma już homiletyki – jest teologia słowa, ale liczę, że ksiądz jakoś sobie poradzi. *Natus est...* homileta. Wiele wskazuje na to, że przy tych *narodzinach* czynny był ks. prof. Ludwik Wciórka, bo potem, gdy były inne propozycje, gdy rektor Krąpiec i przy nim zapraszał mnie do powrotu na KUL – spokojnie i jakże trafnie mi tłumaczył: tu jest macierzysta diecezja, tu zawsze będzie potrzebny homileta, więc

nie ryzykuj... – Dziękuję Ci, Ludwiczku! Także ks. prof. Marianowi Wolniewiczowi, przyjaznemu doradcy nie tylko w tamtych chwilach, bowiem zawsze byłem pod wrażeniem, jak w jego komentarzach Pismo Św. staje się żywym słowem. Nadto porozumiewaliśmy się także w innych sprawach, np. moich kłopotach z bezdomnym Czesiną. On swym bożoludzkim spojrzeniem podtrzymywał mnie na duchu i umacniał w tej chrześcijańskiej posłudze, jakże *egzotycznej* dla niejednych współbraci... – Wiele lat później, w 1976 roku, gdy po powrocie z USA ks. Rektor Stępień i zawsze mi drogi i przyjazny ks. prof. Andrzej Zuberbier napisali listy do arcybiskupa Stroby z prośbą o zgodę na mój powrót na etat adiunkta w ATK, Arcybiskup wezwał mnie i tak pokierował rozmową pierwszą, potem drugą w obecności wezwanego dziekana, ks. prof. Michała Petera, że wypadało nie Jemu, a mi samemu odmówić. Nieco później, wizytując parafię św. Jana Jerozolimskiego, w osobistej rozmowie powiedział: ma ksiądz wielki plus u mnie za to, że ksiądz zostawił to ATK.

Spełniało się misterium Słowa

Wszedłem w homiletykę – staaarą! – z dużym zasobem doświadczeń i narzędzi badawczych. Dzięki łasce Bożej dano mi warsztat pracy, z którym się wprost utożsamiłem. A przecież od początku modliłem się o to, bym pracując w Kościele mógł się zarazem *zrealizować*, wykorzystać swoje możliwości, acz nigdy nie byłem ich pewny, śmiały, przebojowy. Wypracowywałem sobie pewien *ideał* homilii, co symbolicznie wyrażał tytuł artykułu w „Bibliotece Kaznodziejskiej", z którą dawno współpracowałem: *W trosce o współczesną homilię* (1969, nr 5). Oczywiście sprawowałem posługę słowa wtedy i później, co zrozumiałe, ale zawsze czułem, że jestem *podsłuchiwany*. Gdy udało mi się o tym zapomnieć i widzieć tylko ludzi i Boże zadanie, gdy widziałem ich zasłuchanie, skupienie – byłem szczęśliwy. Spełniało się misterium Słowa – wydarzenie zbawcze, coś o czym marzyłem jako młodzian myślący o kapłaństwie. Kiedyś, głosząc rekolekcje dla młodzieży w kościele na Grobli, mając ich wszystkich *na widoku*, jak na to pozwala architektura urokliwego wnętrza – w toku konferencji nagle... zaśpiewałem im refren aktualnego przeboju: *No bo ty się boisz myszy*... zmieniając na: *No bo ty się boisz ciszy*... Takiej ciszy, skupienia podczas nauk rekolekcyjnych w kościele św. Stanisława na Winiarach dwie dziewczyny ostentacyjnie wyszły stukając swoimi *szpilkami* na nogach, budząc zdziwienie masy skupionych młodziaków. Był stan wojenny – może im kazano? Bo także wtedy na bocznej ławie, na widoku reszty, *parka* nie zajęła wolnego obok miejsca, tylko dziewczyna siedziała manifestacyjnie na kolanach chłopaka. I gdy dwa razy żartując, zwracając na to uwagę pozostałych – prosiłem ich, by sobie wygodniej usiedli, uśmiechali się i pozycji nie zmienili. Przegrałem.

Za to u św. Marcina podczas rekolekcji dla młodzieży ktoś z młodziaków zrobił *drakę*, bo nagle z bocznej nawy wydobyły się dźwięki z radia! Okazało się, że sąsiad *gorliwemu* rekolektantowi wyłączył słuchawkę z kieszonkowego radia, włączył się więc głośniczek... Mile wspominam te wspólne zadumy z rekolektującą inteligencją – na przykład u św. Jana Vianneya na Sołaczu – uczestnicy byli włączeni we współkształtowanie liturgii – kiedy to pierwszy raz zrobił mi zdjęcie *w akcji* wspaniały fotografik, choć... urolog – dr Ryszard Prędki. Innej zapobiegliwości twórczej kaznodziei i rekolekcjonisty wymagała posługa kaznodziejska *przeciętnym* słuchaczom, na wsi... Więcej wysiłku kosztowało mnie wtedy zgromadzenie potrzebnego im, innego materiału poglądowego, ale im tym bardziej czułem się potrzebny.

Sam przeżywałem to, o czym pisałem

Nie byłem, nie jestem tylko... *teoretykiem* komunikacji słowa Bożego, ale i *praktykiem*: wchodząc na ambonę (kiedyś...), potem stając na *soborowym* miejscu przepowiadania, sam przeżywałem to, o czym pisywałem, począwszy od owej *ambiwalencji* i... *barierach komunikacyjnych*, które trzeba będzie pokonać... Ambiwalencję – mówić, nie mówić, *otwierać się, odsłaniać*, czy lepiej nie... – poprzedzającą decyzję o przyjęciu zadania, przygotowawcze przemyślenia nad konspektem kazania, trzeba było pokonać, *zapalić* się tematem homilii, nauki rekolekcyjnej. A i tak zawsze było coś z tremy, niepokoju, czy uda się nawiązać kontakt, pokonać *bariery* i z kolei... słuchaczy *zapalić*! Kto to wie czy wiedział, że ukazujący się słuchaczom – powiedzmy, a tak bym chciał: *homo Dei*... – człowiek, ksiądz niewidocznie modli się, nim otworzy usta. A modli się do Matki – niech to w końcu zdradzę – często słowami zapisanymi odręcznie 30 maja 1957 roku na obrazku, Jej ikonie: *Matko, chcę Ci ufać zawsze – bezgranicznie. Jestem twoją własnością – jestem kapłanem Twoim, na Twoich usługach. Prowadź!* – Inspiracja mojego spowiednika, ks. Aleksandra Woźnego? Ha! W brewiarzu jest jeszcze inny *historyczny* zapis, pięknie gotykiem wykaligrafowany na małej karteczce przez Zdzicha Bernata: *Otrzymałem bardzo dokładne zadanie: mam chwalić Boga oficjalnie, publicznie, jak najlepiej, za Kościół, za całe stworzenie i za tych, którzy tego nie robią*. Skąd wzięliśmy ten cytat? – *ne wim*... Rozczytywaliśmy się wtedy, przed subdiakonatem, *In simplicitate cordis mei laetus obtuli universa* – w rozważaniach wydanych w tzw. małej poligrafii. Może stamtąd ta inskrypcja? Daty już nie odczytam, bo kartka nadpalona. A skoro już zdradzam pierwszy raz tyle tajemnic, to muszę dodać, że te zapiski, przechowywane w brewiarzu, to swego rodzaju *relikwie* tamtych dni: teraz przechowuję je, choć... nadpalone, wyjęte z na pół spalonego brewiarza, gdy wypaliło się wnętrze mojego – jedynego zresztą! – pokoju na ul. Świętojańskiej, gdzie proboszcz *na św. Janie Jerozolimskim*

był zmuszony mi dać go w mieszkaniu swej rodziny. No tyle, i spuśćmy zasłonę!

Ambo u Dobrego Pasterza, u Rocha, w Gdańsku na Górczynie...

Przyznam, że na każdy *ambo* w kościele patrzę z atencją, bo go – można tak powiedzieć? – *umiłowałem*. Może najbardziej – bo i często tam stawałem – w kaplicy cmentarnej św. Barbary, potem przemienionej na tymczasowy kościół powstałej parafii Dobrego Pasterza na Jeżycach, gdy dopiero budowano dzisiejszy kościół. Wspomagając Przyjaciela, niestrudzonego proboszcza, Bolka Jurgę, często spełniałem oczekiwania jego i parafian – stawałem przy tym *ambo* mając przed sobą na wyciągnięcie ręki słuchaczy wypełniających kaplicę, a poprzez tylne oszklenia masę ludzi stojących na zewnątrz to na zimnie, w deszczu czy śniegu, to w upale, między grobami... Wtedy treść, struktura homilii – nie mówiąc o czasie jej trwania! – musiała być dostosowana do sytuacji, o czym klerykom wielokrotnie mówiłem (ha! Czego to się nie mówiło?? Ile zostało, jak zrozumiane?) m.in. odtwarzając jedyną, właśnie tam nagraną homilię, mimo że upominali się o więcej...

A ambo w kościele św. Rocha, gdy... Gacek – ups! Przepraszam: ks. Adam Przybecki – był duszpasterzem akademickim na Poligrodzie. Tam kilka serii rekolekcji – jedną serię ma się nagraną! – dusipasterz mi nagrał, a tamte serie były szczególne: jedna przerwana, bo stan wojenny! Co to była za atmosfera – widok zdezorientowanej, przejętej, zasłuchanej młodzieży! I choć musieli opuścić akademiki i się rozjechać – zapewnienie, że: *Wrócicie! Dokończymy!* I tak było, choć jakże inaczej trzeba było kształtować Boże orędzie nadziei, optymizmu i... realizmu chrześcijańskiego.

A ambo w Gdańsku – Wrzeszczu w ogromnym, budującym się kościele, gdy przed sobą miało się ogromną przestrzeń wypełniona masą ludzi, która wyszła z blokowisk...A wśród nich Andrzej z Jolą i dziećmi, dla których byłem najpierw *Wową*, a potem, gdy już dorośleli – Wujkiem, co – razu pewnego – *ogłosili* wszem wobec. A było to tak: zbliżam się do ołtarza zamyślony, bo Władziu, kochany gdański kanonik i mój penitent (nie zdradzam tajemnicy!), znów mnie zaskoczył i nagle prosił: *Powiedz pauca verba, pauca verba!*, a tu słyszę okrzyk jednego z małych Skrzypków: *Patrz, wujek idzie!!*

A przede wszystkim ambo na Górczynie, gdzie najczęściej stawałem! A ten raz, gdy wróciłem do zakrystii, a tam jakaś przepychanka: mężczyźni trzymają kogoś skarżąc, że robił notatki... *Ja dla siebie, dla siebie. Chciałem zapamiętać, zapamiętać, dla siebie!!* A były to czasy tzw. Polski Ludowej...

Stop! Mój Miszka Morozow, oficer i lekarz sowiecki, gdy mieszkaliśmy razem w jednym pokoju pod frontem, ucząc mnie rosyjskiego, powiedzia-

łby: *Nu, Grisza, chwacit, chwacit!* Skoro tak każe – porzućmy zbyt dawne wspomnienia.

W poszukiwaniu koncepcji przekazu słowa Bożego

Kiedy tylko mogłem, to ucząc klerykom przypominałem, że nie będę im śpiewał: *Hejże dzieci, hejże ha, róbcie wszystko to, co ja*... I znowu – by się odwołać do swojego późniejszego tekstu ze znaczącym tytułem: *W poszukiwaniu koncepcji przekazu słowa Bożego* (*Z teorii i praktyki głoszenia słowa Bożego* pod red. ks. W. Wojdeckiego, Warszawa 1976) – przekonywałem, że każdy musi przygotować homilię swoją, dla swoich słuchaczy, przy konkretnych tekstach biblijnych i sytuacyjnych!

Instynktownie od początku uważałem, że homileta musi być nie tylko teologiem, ale i antropologiem w pewnym sensie. Moje dotychczasowe, ale i późniejsze *wyposażenie* intelektualne temu sprzyjało. Jeśli kapłan znaczy *pontifex (pontem facere)*, budowanie więzi, pomostów między Bogiem a człowiekiem, *sacrum* a *profanum*, to znaczy, że ujawniło się moje powiązanie i korelacja kapłaństwa ze studiami humanistycznymi. Bardziej wtedy, a i teraz nie mogę się jednak wyzbyć omalże animozji, zastrzeżeń do homiletów i homilistów – kaznodziei, że żywe słowo Pana tak *smętnie*, *martwo*, monologowo, często pewniacko, jakby tylko oni wszystko wiedzieli, bez świadomości spełniającego się misterium słowa bożoludzkiego, procesu komunikacji międzyludzkiej. Ileż bym tu mógł wyliczyć zastrzeżeń! Takim kaznodzieją i homiletą nie chcę być – wprost się wstydzę za nich, gdy słucham, gdy ludzie mi się wyżalają...

Zaczynałem – a i zwolna kończę – moją homiletykę z wewnętrznym buntem, z częstym *nie*, *nie tak*, choć niewątpliwie jest już lepiej, a zawsze ogromnie cieszyłem się, gdy widziałem umiejętną posługę słowa młodych, a zżymałem się, gdy błądzili, a co gorsze – nie przykładali się do tego. Wyrzucałem im czasem, że jeśli nie widać ich zaangażowania, zapału misyjnego, to nie mamy tu co robić! Wprost z bólem słyszałem czasem tłumaczenie, że nie mają czasu przygotować dobrze homilii, bo... muszą przygotować jakąś pracę seminaryjną, opracować tekst itp. Przypominałem: Sobór miał charakter duszpasterski – wasze studia także mają charakter służebny w stosunku do posługi kapłańskiej. *Hoc facere, et illud non omittere.* Trudna to była sytuacja dla mnie: nie robić wrażenia, że mój przedmiot (czy tylko... *przedmiot*?) jest najważniejszy, że może lekceważę inne, a jednak uświadamiać, że zawsze i przede wszystkim będą kapłanami – dobrze, że z tytułem naukowym. Ale nie *obrzucajcie* ludzi pojęciami, treściami scientyficznymi, żargonem... teologicznym – nie na to czekają. Zaraz na każdym pierwszym wykładzie tłumaczyłem moją koncepcję: najpierw i zawsze formacja duchowa (nawet własne problemy i trudności mogą pomóc zrozumieć człowieka

i mu służyć!) – potem formacja intelektualna, a na tym wszystkim nadbudowana formacja pastoralna, w tym – homiletyczna. Nigdy nie traktowałem homiletyki jako przedmiotu samego dla siebie – i w tym sensie ujmowałem ją kontekstualnie. Wskazywałem na korelacje z innymi przedmiotami, w tym egzegezą. Z Marysiem Wolniewiczem planowaliśmy co roku powiązanie homilii dla mnie na koniec V roku (nazywałem *wzorcowej*, zaliczeniowej – przed diakonatem) z komentarzem egzegetycznym do wyznaczonych tekstów dla niego w I semestrze, choć dla mnie to nastręczało wiele problemów: miast *To mówi Pan*, kontynuowali nurt komentarza... A ileż problemów, ile trudu kosztowały ćwiczenia z diakonami, za którymi... jeździłem na parafie, gdzie odbywali praktyki diakońskie. Prawie od początku mej homiletycznej pracy wykoncypowałem owe bardzo ważne ćwiczenia warsztatowe w ten sposób: dwóch diakonów wyznaczyłem do przygotowania szkicu warsztatowego na konkretną niedzielę. Mieli umówić się z proboszczem, by na pewno im wyznaczył na tę niedzielę posługę słowa (harmonogram ich wygłoszeń na parafii dostawali z dużym wyprzedzeniem). Od razu wyznaczałem dwóch umownie nazwanych *recenzentów* – komentatorów. Następne ćwiczenia, to analiza homiliotwórcza tekstów liturgicznych i kontekstów sytuacyjnych, a więc dnia liturgicznego, miejscowych problemów i planów duszpasterskich. Komentatorzy – próby takich analiz mieli już w roku poprzednim – wskazywali na treść teologiczną czytań, możliwą tematykę z nich wynikającą, i aspekt egzystencjalny: potencjalne, hipotetyczne reakcje człowieka, jego życiowe problemy, które przy tej okazji można naświetlić słowem Bożym. Dalszy etap, to po ich przyglądnięciu się dwóm przygotowanym szkicom – dyskusja robocza: swoisty *autoreferat* wyznaczonych homilistów, opinie recenzentów i moje podsumowanie. Zdarzało się, że musiałem powiedzieć: tak przygotowana homilia nie może być wygłoszona, nie może reprezentować nas – Seminarium, Papieski Wydział Teologiczny. W daną niedzielę odwiedzałem te dwie parafie, słuchałem homilii – rozmawiałem o kaznodziejskiej – i nie tylko! – posłudze diakona, a przede wszystkim z gronem parafian, i to tak, by nie umniejszać czy nie daj Boże niwelować misterium słowa Bożego traktowanego jak *występ*, który sobie teraz oklaskami czy krytyką podsumowujemy. W tej dyskusji sam także odsłaniałem się tylko jako jeden ze słuchaczy. To była kopalnia wiedzy o człowieku, duszpasterstwie i *last not least* diakonie. Z kolei to wszystko wracało na następnych ćwiczeniach: zrealizowane zadanie, homilia tak jako ona była słyszana, dyskusja z gronem parafian – i teraz refleksje recenzentów, to co przedtem zauważyli w konfrontacji z tym, ci usłyszeli, prawie zawsze poprawione homilie dzięki poprzed-

niej dyskusji warsztatowej. Dla grupy zaś – wnioski ogólniejsze dla zadania w następnym miesiącu.

Preaching in Poland

Dziwne to było, że najpierw, w pierwszym okresie pracy dydaktycznej, trzeba było pokonywać także opory młodych – nasłuchali się opinii niektórych starszych księży... – wobec formuły posoborowej homilii, potem zaś o program kaznodziejski Episkopatu, mimo że przywoływałem i klasyczną wypowiedź Jana XXIII o potrzebie regionalnych programów, mimo że przekonywałem o sensowności podsuwania sugestii tematycznych wzbogacających homilistę na etapie przygotowywania szkicu wypowiedzi i nietrwania przy schematycznych, najczęściej, tradycyjnie podejmowanych wątkach czytań. Byłem i jestem co do tego przekonany, co nie znaczy, że zawsze z wielką satysfakcją – i sam tak czyniłem, i sam podziwiałem, jak wspaniale to robili inni – można spontanicznie spełniać z radością swą funkcję profetyczną samemu w modlitewnym zamyśleniu odkrywszy, że to, właśnie to mówi nam Pan dziś, gdy spełnia się wtedy Boże *hodie – hodie, si vocem euius audieritis...* – z *ludzkim*, z człowiekiem i jego problemami, które możemy rozświetlić słowem Pana!

Tu może taka ciekawostka. Opublikowałem w angielskim „The Clergy Review" (February 1973) artykuł pt. *Preaching in Poland.* Posłałem Kard. Wyszyńskiemu, przecież głównemu inspiratorowi programowego nauczania, do czego także potem nawiązałem przy opracowywaniu szkicu rozdziału *Przepowiadanie słowa Bożego* do statutów Poznańskiego Synodu Archidiecezjalnego 1992 – 1993. Nadeszły – ku mojemu zaskoczeniu – dwa listy. Prymas Wyszyński pisał (7 III 1973 r.): *Pragnę serdecznie podziękować za przysłanie mi lutowego numeru... z Jego artykułem... Zawsze cenną rzeczą jest wymiana doświadczeń duszpasterskich między poszczególnymi krajami, a szczególnie w okresie odnowy soborowej i głębokich zmian w przepisach liturgicznych Kościoła. Zagadnienie głoszenia słowa Bożego zawsze w Kościele było na głównym miejscu. W Ojczyźnie naszej bardzo podkreślaliśmy to zagadnienie, zwłaszcza w okresie odnowy Narodu przez Wielką Nowennę. Życząc Księdzu Doktorowi dalszych osiągnięć na polu piśmiennictwa katolickiego, ślę Mu błogosławieństwo prymasowskie oraz oddaję tę pracę w opiekę Matki Kościoła, Stolicy Mądrości i Królowej Polski...* W ślad za tym listem – następny (27 III 1973 r.): *Pragnę wyrazić swoją radość, że Ksiądz Doktor w artykule o kaznodziejstwie w Polsce ukazał wielką troskę Episkopatu i wybitną rolę Księdza Prymasa, jeśli chodzi o przepowiadanie słowa Bożego w naszym kraju. Dobrze się stało, że środowisko poznańskie zostało odpowiednio podkreślone, a szczególnie Poznański Wydział Teologiczny... Życzę Księdzu Doktorowi stałej pomocy Bożej w Jego pracach dla dobra*

Kościoła i wszelkim dalszym zbożnym poczynaniom – serdecznie błogosławię. Antoni Baraniak, Arcybiskup Metropolita. – Czułem się wtedy podniesiony na duchu.

O mojej dydaktyce

O mojej dydaktyce parokrotnie pisałem. Potem objęcie Archidiecezji przez arcybiskupa Strobę – Jego wizytacje w Seminarium, rozmowy ze mną i w rezultacie jego autorytetem zatwierdzona instrukcja dla praktyk diakońskich dała mi już *prawną* podstawę do kontynuowania tej formuły ćwiczeń. Oczywiście – były problemy z terminami, a z rzadka ktoś z braci kleryckiej kombinował, by nie być poddanym takiej – co tu dużo mówić – *presji* dydaktycznej i usiłował tłumaczyć, że w parafii mają inny plan wygłaszania kazań itp. Raz jeden się zdarzyło, że traktując elastycznie moje *zarządzenia* – na takie dictum nie pojechałem do danej parafii. A potem napotkany proboszcz mi mówi: *Wszędzie jeździsz, a do mnie, do mojego diakona jeszcze nie przyjechałeś! – Jak to?? Nie chciałeś. – Co?! Kiedy?*

I tak od roku 1976 zajmowałem się formacją homiletyczną naszych przyszłych księży – obowiązek, który przyjąłem – zadanie, z którym się utożsamiałem, w które się zaangażowałem traktując je jako – nie waham się powiedzieć – zadanie mojego życia. Przecież nie ma sensu się zżymać na tak obchodzące mnie niedostatki, zauważalne ludzkie *niedoskonałości* ka-znodziejów w posłudze słowa Bożego. *Szło nowe* – wiele mówiący tytuł jednego z tomów cyklu powieściowego Antoniego Gołubiewa *Bolesław Chrobry,* który lubiłem. Szło *nowe* – trzeba *budować*, wychowywać młodych. *Ecclesia semper reformanda* – gdzie, jak gdzie, ale przede wszystkim – jeśli tak wolno powiedzieć – w przekazywaniu prawd wiary i moralności: to przecież poprzez kazanie, posługę Słowa ludzie wyrabiają sobie wyobrażenie o Kościele i to, że sami go współtworzą, a o tę świadomość ciągle jeszcze trzeba zabiegać. – Tyle przekonywania młodych, jako że epoka *iurare in verba magistri* dawno minęła, *zapalania* do służby Słowu, pokazywania ideału posługi i jej form. Włożyłem w to wiele wysiłków, nawet nerrrwów... Potem szli do pracy. Czy się dalej rozwijali? O ile w pierwszych latach mojej *posługi homiletycznej* zauważałem duży wpływ nawyków starszego pokolenia, o tyle z biegiem lat było tego mniej. Egzaminy proboszczowskie dawały – i dają! – okazję do ostatniej mojej korekty, poradnictwa i dyskusji nad zgłaszanymi problemami zamieniając aspekt formalny egzaminu na dydaktyczny, by nie powiedzieć: pedagogiczny. Przyjmując na to kolokwium egzaminacyjne, czytając szkice kazań, opracowań, słuchając nagranych na magnetofonie homilii – sam ciągle robiłem i robię *homiletyczny* rachunek sumienia zastanawiając się, co jeszcze mogłem zrobić, by właściwie uformować głosicieli słowa Bożego?

To były i są ostatnie okazje do radości dydaktyka – by znów nie powiedzieć: pedagoga... – a jednak czasem i smętku.

I tak snuły się te lata. Gdy czczono 25-lecie pracy ks. mgr. Kotlarskiego i widziałem jego wzruszenie, sam zastanawiałem się, jak – i kiedy? i czy? – ja to przeżyję. No, niepotrzebnie się martwiłem... Nikt nie zauważył – niczego nie było. *Quid hoc ad aeternitatem?*

Może jeszcze trochę formalności i dat. – 8 XII 1971 roku *Nihil obstat* Sacrae Congragationis pro Institutione Catholica. Etap *rodzenia się* Papieskiego Wydziału Teologicznego. Od początku byłem tego świadkiem, także jako sekretarz i przedstawiciel niesamodzielnych pracowników naukowych przez wiele kadencji, z czego się zwolniłem pismem do Dziekana z dnia 27 IV 1985 roku – zresztą wyraz mojego dystansu do pewnych *zaszłości*. Potem przyszły dalsze przeobrażenia organizacyjne: na nowo... *zlecenie wykładów z homiletyki (6 XII 1996), nominacja na starszego wykładowcę w katedrze teologii pastoralnej (17 IX 1997).*

Nemo propheta in patria sua

Wielokrotnie, jeszcze w okresie *preuniwersyteckim*, upominałem się o kształcenie następcy, bo o prowadzenie seminarium z homiletyki nie upominałem się. *Nemo propheta in patria sua...*- szanse dawała mi Akademia w Warszawie. Rozmawiałem z arcybiskupem Strobą na ten temat. Wyraził zdanie – do końca przezeń podtrzymywane – że homiletykę powinien wykładać ksiądz z nabytym doświadczeniem duszpasterskim. Podsuwałem ks. Adama Kalbarczyka, ale z pewnych względów pozostał w Niemczech. Zaskoczyła mnie po paru latach własna inicjatywa Arcybiskupa: sam wybrał ks. Macieja Karola Kubiaka i zatelefonował osobiście pytając, co o tym sądzę, czy mu pomogę robić doktorat z homiletyki na naszej Uczelni, bo przecież bez sensu byłyby zagraniczne studia w tej dziedzinie. Byłem uradowany! 6 sierpnia 1993 roku przekazał mi odpis swej decyzji o skierowaniu Macieja na *kurs doktorancki na naszym PWT, celem przygotowania rozprawy z zakresu homiletyki.* Wielokrotnie spotykaliśmy się z Maciejem: przyjął chętnie plan kontynuacji i rozwoju koncepcji *komunikacyjnej* kaznodziejstwa. Ustaliliśmy temat: komunikacyjny model przepowiadania w dydaktyce homiletycznej. Znalazł sobie u nas promotora – omawialiśmy plan, bibliografię.

Jednakże jego dalsze losy potoczyły się inaczej... Trzeba było szukać innego rozwiązania, przecież lat mi przybywało. A skoro wrócił ze studiów w Niemczech ks. Adam i sfinalizował u nas doktorat z pastoralnej – ustąpiłem mu miejsca, różnymi sposobami zabiegałem o przejęcie przez niego dwu młodszych kursów (IV i V rok), sam zaś chciałem zatrzymać formację diakonów, jako że z doświadczenia wiedziałem, jak ważne i znaczące dla nich są końcowe ćwiczenia warsztatowe oparte o praktykę diakońską. Wcześniej

(dekret dla ks. dr Adama Kalbarczyka z dnia 22 IV 1998) udało się załatwić sprawę nominacji na mojego zastępcę w redakcji „Biblioteki Kaznodziejskiej" w półetatowym wymiarze, toteż pismem z dnia 19 VI 1998 zwróciłem się do Dziekana: *Nawiązując do naszych parokrotnych rozmów, pozwalam sobie tą drogą ponowić propozycję przekazania wykładów i ćwiczeń z homiletyki na IV i V roku ks. dr Adamowi Kalbarczykowi, który już ma nominację na mojego zastępcę w redakcji* „Biblioteki Kaznodziejskiej". *Sam chciałbym – o ile taka będzie decyzja – prowadzić dalej ćwiczenia z homiletyki na roku VI.* I tak się stało. Cieszyłem się z takiego rozwiązania i nadziei współpracy. A jednak – halo, spuścić zasłonę! – 14 maja 1999 zgłosiłem dziekanowi rezygnację oddając się do dyspozycji, do zastanowienia... Decyzja miała być podjęta w czerwcu, nie mniej okazało się, że zajęcia z diakonami 20 maja były ostatnimi... 18 czerwca 1999 roku zgłosiłem – z pewnych względów – zdecydowaną rezygnację. Odszedłem. *In silentio et quiete proficit anima devota* – mówi *De imitatione Christi.*

Adiunkt ATK. Narodziny homiletyki kontekstualnej

...Wyrażam zgodę na podjęcie wykładów na Wydziale Teologicznym Akademii Teologii Katolickiej przez ks. mgra Zdzisława Grzegorskiego pod warunkiem, że J. Em. Ksiądz Kardynał Prymas nie będzie miał zastrzeżeń odnośnie tej kandydatury... – dnia 16 X 1970 roku otrzymałem odpis listu arcybiskupa Baraniaka do Akademii.

Natus est... homileta – teraz tym bardziej. Zaczął się bardzo ważny etap mojej pracy w Kościele – wydarzenie opatrznościowe. Dostałem już formalnie... uniwersytecki warsztat pracy: sam uczyłem kleryków – tu uczyłem tych, którzy... mają uczyć... Można było *rozwinąć skrzydła*, czego na poziomie seminaryjnym nie mogłem zrobić, choć praca na obu poziomach była bardzo inspirująca. Cenna komplementarność! A zaczęła się ona od razu.

Sam z podziwem patrzę na półki pełne – głównie amerykańskich – książek z dziedziny, którą oni po prostu nazywają *human communication,* także retoryki naukowej, homiletyki katolickiej i protestanckiej (jak wiadomo, oni więcej uwagi poświęcają formacji kaznodziejskiej), często z braterskimi dedykacjami. Bibliografie (np. ekumeniczna *Recent Homiletical Thought. A Bibliography 1935-1965.* Nashville – New York 1967 z dedykacją katolickiego współautora: „With sincere best wish – Willam Toohey CSC czy cenne przeglądy: „Homiletic – A review of Publications in Religious Communication", „The Digest of Research in Religious Speaking"). Roczniki czasopism i serii wydawniczych, by wspomnieć tylko kanadyjski „Homiletic Service", angielski „The Living Word", a szczególnie amerykańskie: „Philosophy & Rhetoric", „The Journal of Communication", „Preaching – A Journal of Homiletics", „Preaching Today" (paroletnia korespondencja

z redaktorem, o. Francisem S. MacNuttem OP). Żywa korespondencja z *Religious Speech Communication Association*, z katolickimi ośrodkami podyplomowego dokształcania księży... No nie wyliczę, a tym bardziej materiałów i korespondencyjnych dialogów i konsultacji (jeszcze nie usunąłem opasłych teczek), do których w tej chwili nie sięgam, bo one *rozsadziłyby* ramy niniejszych wynurzeń (o wprost przyjacielskich kontaktach z prof. Dancem, a szczególnie z Reuelem Howem już wspominałem). Próbowałem zaglądać i do źródeł niemieckich, ale nie znam języka tudzież zorientowałem się, że również korzystają z inspiracji amerykańskich pracując nad nimi dalej zgodnie z swoją niemiecka precyzją. – To wszystko są ślady mojego indywidualnego dokształcania się i koncypowania teorii przepowiadania na nasz użytek.

Przyjaźń z ks. Leszkiem Kucem

Nie wiem, jak to się stało (jeśli pominąć napomknienie prof. Sławińskiej o nim jako poloniście, filozofie, teologu), że od początku mojej pracy ściśle homiletycznej zaprzyjaźniłem się z ks. Leszkiem Kucem. Jemu, właśnie jemu mogłem dedykować później tom *Homiletyki kontekstualnej* i we wprowadzeniu to wyjaśnić. Znajduje jedynie ślady tych początków – pełne serdeczności dedykacje: *Kochanemu Grzegorzowi z serdeczna przyjaźnią i radością ze spotkania, w nadziei, że wiele razem zdziałamy – 19 IV 1968...* (w opublikowanej właśnie rozprawie habilitacyjnej *Kaznodziejstwo a teologia Henryka z Gandawy*, Warszawa 1968). *Kochanemu Grzegorzowi z przyjaźnią serdeczną – Leszek, 10 IX 1969 r.* (fascykuł z „Studia Philosophiae Christianae" – artykuł świadczący o jego wtajemniczeniach i zainteresowaniach filozoficznych: *Pojęcie bytu według Tomasza de Vio Kajetana*). *Kochanemu Grzegorzowi na dalszą wspólną drogę – Leszek, 4 IV 1972 r.* I ostatni list przed śmiercią, o którym piszę we wspomnianym *Wprowadzeniu*, nadesłany 11 stycznia 1983 roku z St.-Cloud – z emigracji. I on, i grono bliskich, w które mnie wprowadził (Andrzej Zuberbier, Janusz Pasierb, Michał Czajkowski, Waldek Wojdecki), tworzyło zżytą grupę ożywioną nadzieją, *że... wiele razem zdziałamy.* Nim moje powiązanie z ATK nabrało formalnych kształtów – już spotykaliśmy się, dyskutowaliśmy, planowaliśmy (m.in. nowoczesną w formie, choć ubożuchną edytorsko, bo na tzw. małej poligrafii – serię podręczników, *Materiałów do nauczania w zakładach teologicznych*, z których tylko dwa zdołały się ukazać). Już mnie wciągnięto do prowadzenia konwersatorium na II Kursie Homiletycznym dla Duchowieństwa w 1968 roku (z ks. Wolniewiczem jako biblistą, cfr *Pismo święte w duszpasterstwie*, Warszawa 1969), już miałem w tym okresie *dwugłos* do homiletów na temat teologicznej zasady adaptacji (Leszek aspekt teologiczny – ja komunikacyjny), już opublikowałem studium *Posługa słowa w sche-*

macie teorii informacji („Studia Theologica Varsaviensia", 1970,1) itd. Już kształtowało się pole moich zainteresowań – koncepcja interdyscyplinarnego, choć wolałem: *kontekstualnego* (co tłumaczę w moich pracach) pojmowania homiletyki. Potrzebne było także swoiste *brachium saeculare* – sondaże kontekstów, zwłaszcza literatury, w których człowiek mówi o sobie i co sam odbiera, by nie powiedzieć *konsumuje* w wypadku kultury masowej. *Quo vadis...* homo! Już były znaczące sygnały... (zob. *O nowe źródła dla refleksji homiletycznej – Na marinesach socjologii kultury masowej,* „Studia Theologica Varsaviensia", 1972,1 – *Interpretacja utworu artystycznego na użytek katechezy,* „Katecheta" 1974,2 – *Quo vadis, homo? O człowieku w świetle współczesnej literatury,* „Katecheta" 1974,5 – tekst niewidocznie dla czytelnika *porąbany* przez cenzurę! – *Inscenizacja religijna jako środek wychowania w wierze,* „Katecheta" 1980,3 itd.).

W głąb teorii przekazu

Kopiaste teczki umów z uczelnią, wypisów z katalogu wykładów... Czy warto przez to wszystko się przekopywać? Znalazłem zapisy, np. wykłady zlecone na kolejnych latach od 1970 roku: Przekaz słowa Bożego na tle podstawowych praw międzyludzkiego porozumiewania (1973/74) – Preliminaria homiletyki kontekstualnej (1974/75) – Wprowadzenie do teorii przekazu homiletycznego – Socjopsychologiczne aspekty przepowiadania – Przekaz słowa Bożego na tle podstawowych praw międzyludzkiego porozumiewania – Zasada korelacji w kaznodziejstwie. Zajęć i tematów przybywało – byłem adiunktem: Wybrane zagadnienia z teorii przekazu homiletycznego – wykład, ćwiczenia, konwersatorium z antropologii homiletycznej (1975/76) – Chrześcijańska koncepcja komunikacji – Struktura komunikacyjna kazania: próba konstruowania nowej problematyki badawczej (kazanie jako tekst – orientacja semiotyczna, kazanie jako wydarzenie – orientacja behawioralna), oczywiście ćwiczenia, seminarium... (1976/77).To ostatnie także dawało mi wiele satysfakcji i okazji do konstruowania nowej problematyki badawczej. Ileż w tekstach kazań jest zapisów nie tylko doktryny – czym najczęściej zajmują się *starożytni* homileci dołączając jedynie jakieś uwagi o retoryce kaznodziei... Prowadzenie tego seminarium było dla mnie samego kuźnią do rozbijania schematów badawczych, a zadawania tekstowi wielu właściwych, *komunikacyjnych* pytań badawczych! Mile wspominam moich dwudziestu pięciu magistrantów, których prowadziłem na podstawie specjalnej uchwały Rady Wydziału – jak choćby o. dr Gerarda Siwka CSsR, z którym nie przestajemy się kontaktować, jak ks. dr Bogdana Walczykiewicza SDB i innych. Trzeba wspomnieć i to, że trzeba było *obsługiwać* i ośrodki konsultacyjne – mnie przypadł Gorzów (45 słuchaczy) i Szczecin (43 słuchaczy). To była zarazem szansa dotarcia do szerokiego grona duszpaste-

rzy, którym polecono w tych diecezjach zaocznie zdobyć tytuł magistra. Najcięższy był taki tydzień raz w miesiącu, kiedy to miałem zajęcia w Poznaniu, Warszawie, Szczecinie i Gorzowie. A cóż mówić o prowadzeniu Koła Naukowego Homiletów, posiedzeniach poszerzonej Rady Wydziału, inicjatywach jeszcze innego typu, jak to: spotkanie w Warszawie z dominikańskimi rekolekcjonistami – praktykami, którzy i słuchali mnie, i stawiali problemy do rozwiązania...

Szkoda, że magistrantów musiałem zostawić. Petycję ATK o mój powrót na adiunkturę – o czym było powyżej – arcybiskup Stroba zręcznie odrzucił. – I chyba ostatni mój *śpiew* – znów na krótko wykłady zlecone: Pedagogia masowego przekazu a kaznodziejstwo (1978/79).

Homiletyka kontekstualna

Ale *najostatniejszy* miał jeszcze nastąpić. *Zachodzi słoneczko nad lasem, nad rzeczką* ... – sobie ja tak śpiewam. Rok 1999 – publikacja szeregu trudno dostępnych tekstów w jednym tomie: *Homiletyka kontekstualna* tom 13 (szczęśliwa trzynastka??) w serii Biblioteka Pomocy Naukowych Wydziału Teologicznego UAM. Napisałem we *Wprowadzeniu* między innymi: *Nie byłoby tego tomu, gdyby nie zachęta i naleganie ks. dyrektora Feliksa Lenorta ... który w końcu przemógł moje opory i – powiedzmy – pokorę. Innego typu inspiracją, która prowokowała do zastanowienia się nad wydaniem wyselekcjonowanych tekstów, był już sam tytuł referatu na III Sympozjum Homiletycznym w Krakowie (1994 r.), jaki mi zaproponował o dr Wiesław Przyczyna CSsR, trafnie ujmując to, co mogłem wnieść w homiletyczną refleksję: Kaznodzieja w komunikacyjnym modelu przepowiadania. Wiesiu dziękuję.*

Czytelnika może uderzyć owo zaczynanie niejednego tytułu od: O kontekstualny ... O umiejętność ... Przekonywanie, apele, zachęty ... Co więcej: powtarzanie pewnych wątków – i by przekonać, i by utrwalić w pamięci. To ślady pewnego etapu historii homiletyki polskiej. Nie było sprzyjającego klimatu (a czy jest?) nawet do adaptacji słowa-klucza, tak bliskiego Chrystusowego orędzia: communicatio – communio – unio, choć wiele dyscyplin naukowych już go przyswoiło ...

Zresztą kto chce, niech czyta – albolitеż nie.

Homoseksualizm i literatura

A propos sondaży – jeszcze jeden, acz późniejszy, może zaskakujący ich ekskurs: homoseksualizm w literaturze. A wszystkiemu winien... o. Jacek Bolewski SJ i planowany numer „Przeglądu Powszechnego" o seksualizmie (1994, 12). Choć, jak to w życiu bywa, *winowajców* i koincydencji było więcej. Przede wszystkim *coming out* (literacki i publicystyczny) znanego pisarza, Juliana Stryjkowskiego. Przyjąłem sugestię: znalazły się w tym numerze fragmenty mojego obszerniejszego studium: *Przerwane milczenie o męskiej*

miłości. A ponieważ zauważyłem w tekście Stryjkowskiego inspiracje na temat *milczenia* wzięte chyba z Norwida – redaktor Bolewski nalegał, by rzecz kontynuować: zaproponował skróty, które miałbym rozwinąć w następnej części. No, tak się już nie stało.

Jak zwykle, ja robię solidną kwerendę – szerokie rozeznanie problematyki. Rozesłałem wici – pomijając zapoznanie się przy okazji z zagranicznymi ośrodkami duszpasterskimi, ich i innymi publikacjami – nadesłano mi z Uniwersytetu GH Siegen aktualny tom *Forum – Homosexualität und Literatur* (1993,18) sugerując, bym mój tekst tam opublikował – niestety... – po niemiecku. Ale w tym numerze „Forum" z kolei pisze Iwaszkiewicz: Karol Szymanowskis Roman *Ephebos.* Sięgnąłem dalej. Jak się okazuje, *Efebosa* napisał Szymanowski *dla siebie, jako pociechę i słodkie wspomnienie przeszłości* to jego wyznanie przytacza Jan Błoński (*Szymanowski – Pisma literackie,* t. II, Warszawa 1989). I to chyba w tamtych czasach zaczęło się zaprzyjaźnienie z *równolatkiem* (ha, siedemdziesiątka tuż, tuż...), właścicielem Pojkart – Verlag Jugend in der Kunst w Lubece, Harrym Turne. Łączy nas umiłowanie fotografiki (mam, używam i używałem aparatów fotograficznych!), zwłaszcza fotograficznych ujęć dzieci, a i udane próby budowania pomostów między naszymi narodami: przyjeżdża do swojego rodzinnego... Kolbergu, organizuje dla *nowych* mieszkańców koncerty chórów chłopięcych, w czym mu pomagałem na różne sposoby (jak wspaniale przy wjeździe do Polski przyjął go arcybiskup Przykucki!), kontaktowałem z Stefanem Stuligroszem, z panem Krollopem. Rzewnie wspominam pomoc i współuczestnictwo w usytuowaniu marmurowego krzyża *Hans Koch in memoriam* pod Kołobrzegiem, gdzie 14-letni Hansik, jego przyjaciel, został zastrzelony przez Sowietów i gdzieś zakopany w rowie... Harry, z którym stale utrzymuję żywy kontakt (faksami, e-mailami), wraca myślami to dramatów wojennych – ja też. W końcu nie bez przyczyny za te dziecięce doświadczenia przyznano mi kombatanctwo. A za skromną finansową pomoc w utrzymywaniu Czesiny, którego zna i o którego ciągle mnie wypytuje, jestem mu bardzo wdzięczny. W sumie: co za koincydencja różnych wątków!

„Czesina" czyli nikt mnie nie kocha

A gdyby ktoś zapytał, co to za *Czesina*, to spieszę tu wyjaśnić, nim... spiszę (czy zdążę?) wszystko w książce, której tytuł już mam – jego słowa: *Nikt mnie nie kocha.* Dodam może podtytuł: *(?)... lat troski o dziecko bez domu i miłości rodzicielskiej.* Kiedy to się zaczęło? Może gdzieś w 1994 roku? Pisałem o tym pod znaczącym tytułem: *Nie ma Korczaków czyli kto zrozumie uciekające dziecko?* Proszę przeczytać, jeśli to możliwe („Przewodnik Katolicki" 1994,23). Bliscy ciągle mnie pytają: a co z Czesiem? – To

jest istotna część moich życiowych zmartwień i nerwów. Ale ja sobie tego nie wybierałem. Ośmielam się powiedzieć, że to Pan Bóg mi go przysłał, a był to akurat Rok Rodziny – ja otrzymałem takie, zaskakujące zadanie: nie tyle mówić, co działać (*sapienti sat!*). Mam opasłe teczki dokładnych zapisów – jego i zarazem kawał mojego życiorysu, do których na razie nie zaglądam, bo to odświeżanie jego i moich psychicznych *ran*, a zarazem problem: jak opisać te dramaty życiowe, i to w całej prawdzie, czasami krępujące i bulwersujące (kto go wychowywał? – rozwiedzeni rodzice lub pogotowie opiekuńcze, gdzie go matka oddała? – ulica!), a nie ujawnić osób i miejsc, gdy przeczyta to potem może jego żona, opiekunowie w ośrodkach dla bezdomnych, a nawet policja (te cacy, cacy ...*(?) izby dziecka* itp!...). Mawiam, że *nie mam dzieci, ale... mam dziecko*, które ciągle w momentach dramatycznych do mnie uciekało – najpierw z... (nie powiem) na Wschodzie, potem z Północy, a nawet z poznańskich ośrodków dla bezdomnych. Poznałem, oj poznałem to wszystko *od podszewki*. Dziś, gdy słyszę o nieletnich stających przed sądem za przestępstwa, najpierw wezwałbym przed oblicze ludzkich sądów wielu z tych, powyżej wymienionych, nim staną na Sądzie Bożym. Najbardziej mnie bolało, gdy wychodził ode mnie do obcych, właściwie – w nieznane, co sam przeżywałem podczas wojny. Pieniądze i znajdowane przeze mnie miejsca i ludzie istoty bezdomności, braku bliskich – nie załatwią. Ale przy Bożej i ludzkiej pomocy – dziwne, zaskakujące *iunctim*, czego sam doświadczałem... – skończył w Gdańsku VIII klasę, a teraz jest przy rodzinie *swojej* dziewczyny w... (nie powiem!) i mi napomyka, że muszę *być... na weselu*. To był – i jeszcze w jakimś stopniu jest – ogrom kłopotów, wydawania oszczędności, a nawet zapożyczania się.

O miłości, która nie śmiała wymawiać swojego imienia

A wracając do sondaży i *winnych* owego sondażowego ekskursu: akurat Rebis w Poznaniu wydał książkę *O miłości, która nie śmiała wymawiać swojego imienia* (1993) dominikanina Richarda Woodsa. Jego angielski adres podał mi Stefan Filipowicz SJ z Chicago, *zaprzyjaźniona firma* (onegdajszy redaktor Radia Watykańskiego) zarazem kupując i wysyłając mi opasły amerykański kolejny VIII tom *Homosexual Themes in Literary Studies* (New York 1992): *Niech to będzie «gift» dla dobra sprawy*, ale sam list zaczął słowami: *Nie wiem, czym Ty jeszcze w życiu będziesz się zajmował!?* Miałeś rację, Stefciu! W każdym razie, gdy mnie będą pytali – a pytają o różne zjawiska z szeroko pojętej humanistyki, literatury i mediów – wiem, co odpowiedzieć. Nie mniej powstało chyba ciekawe studium: w toku analizy i porównania z poprzednią powieścią, *Tommaso del Cavaliere* (1982), odczytałem, że tam wierzący Mistrz (Michał Anioł), skruszony chrześcijanin, znajduje ukojenie w miłosierdziu i dobroci Boga – natomiast w autobiogra-

ficznej powieści *Milczenie* (co ciekawe: w swej strukturze przypomina przypowieść) Stryjkowski wraca do swych korzeni religijnych – pełnej afirmacji nie ma, strach pozostaje i fatalistyczne wyznanie bohatera literackiego: *Uważałem, że mnie Bóg ukarał.* Pisarz w udzielonym wywiadzie na pytanie, czy spełniły się jego pragnienia – odpowiedział krótko: *Nie.* Tudzież skoro – znacząco! – pierwszą powieść dedykował niejakiemu Ryszardowi Żuromskiemu, ja – ha! – dołączyłem *duszpasterską* w założeniu dedykację: *Rafałowi ku refleksji.* Czy ów poznany w Warszawce studencik, który kiedyś mi jasno powiedział, że jego religijność skończyła się na I Komunii – przejmie się tym? – W każdym razie numer 12 „Przeglądu Powszechnego" mu posłałem.

W Komisji do Spraw Środków Społecznego Przekazu

Może tu jest miejsce, by teraz powiedzieć o moich swarach z... kulturą obrazkową, głównie telewizją, a *najgłówniej* z ciągle niedojrzałym telewidzem! – Od strony formalnej wyglądało to tak, że już przed zwołaniem Synodu (1968) arcybiskup Baraniak 28 X 1966 powołał mnie na członka *sekcji środków duszpasterskich*, a 7 lutego 1972 roku mianował *archidiecezjalnym referentem do spraw radia, filmu i telewizji* – jeszcze jeden motyw do mojego penetrowania masowej kultury. Po latach o zwolnienie poprosiłem pismem z dnia 22 IV 1985 roku: *Nawiązując do rozmowy z Księdzem Arcybiskupem podczas przejmowania redakcji »Biblioteki Kaznodziejskiej« – zgodnie z otrzymana wtedy sugestią – uprzejmie proszę o wyznaczenie odpowiedniego księdza na stanowiska referenta do spraw społecznych środków przekazu... W tej dziedzinie pozostaje mi nadal udział w pracach odpowiedniej Komisji Episkopatu, a także nowe zadanie w Kolegium Redaktorów...* A że widocznie *mądrzyłem* się podczas konferencji diecezjalnych referentów, wybierano mnie na kolejne kadencje Komisji: *199 Konferencja Plenarna Episkopatu Polski mianowała na nowo Przewielebnego Księdza członkiem Komisji Episkopatu do spraw Środków Społecznego Przekazu na następną pięcioletnią kadencję. Powiadamiając o powyższym, dziękuję za dotychczasową współpracę i wyrażam radość z możliwości jej kontynuowania...* – *biskup Ignacy Jeż* (6 IV 1984). Biskup Ignacy, lubiący żarty, *prześladował* mnie zwracając się prowokacyjnie, publicznie per *ksiądz prałat... kanonik... infułat...* – *Uprzejmie informuję, że 233 Konferencja Plenarna Episkopatu Polski w dniu 9 marca 1989 r. wybrała Księdza.... Osobiście wyrażam radość z tego faktu i przekazuje słowa serdecznych gratulacji oraz życzeń...* – *Biskup Adam Lepa.*

Mass media education

Zlecono mi w Komisji dział edukacji, z czym – nieopacznie? Opatrznościowo? Bóg tak chciał? – się identyfikowałem, głęboko zaangażowałem. Tam z kolei toczyliśmy uczone dialogi z prof. Franciszkiem Adamskim, który

pokładał we mnie wiele swej nadziei, namawiał do habilitacji, drukował moje opracowanie *Dialog rodzinny – formacji i korektura wpływu masowego przekazu* w kolejnych redagowanym przez siebie tomie *Wychowanie w rodzinie chrześcijańskiej* (Kraków 1982), kolejne zaś wersje innego studium (*Audiowizja a problem współczesnej katechezy zintegrowanej*) ukazały się np. w tomie *Kościół a kultura masowa* pod redakcja prof. Adamskiego (Kraków 1982). Tak na tym forum, jak i na wykładach w Seminarium (*Pedagogia masowego przekazu – Teologia społecznych środków przekazu* – szukałem odpowiednika do angielskiego *mass media education,* lecz wybrałem raczej niemieckiego pochodzenia *padagogie...)* wskazywałem wtedy, w okresie komunistycznego zniewolenia, na *środki ubogie*, ale równie ważne. Trzeba przygotowywać się do zbliżającej się eksplozji informacyjnej, posuwałem sposoby, namawiałem i pokazywałem sposoby interpretacji przekazów, odbioru *wewnątrz* Kościoła... Ale to był raczej *głos wołającego na puszczy*! Do sprawy wracałem (zob. *Mass media – i co dalej?* „Przewodnik Katolicki" *1985,39*). Wśród wielu źródeł, miałem – i mam do tej chwili! – wspaniałe źródło: komentowaną bibliografię światowych publikacji, którą (i nie tylko to) dostałem od wieloletniego redaktora, o. W. E. Biernatzkiego SJ (uff, znów kochani jezuici!): kwartalnik „Communication Research Trends" opracowywany w Centre for the Study of Communication and Culture – Saint Louis Univeristy w USA. A ostatnio zaś cenię sobie kontakt z prof. dr Józefem Skrzypczakiem z Wydziału Nauk Edukacyjnych UAM, który ostatnio zaszczycił mnie entuzjastyczną recenzją wydawniczą opublikowanego przez Drukarnię i Księgarnię Św. Wojciecha w kooperacji z UAM poradnika dla rodziców i wychowawców *Ja, dziecko i TV.* Jeszcze raz okazało się – a tak uważałem od początku – w świetle aktualnych badań, że nie anatemy, zakazy skorygują negatywny wpływ, a wychowanie do odbioru. Zresztą to wszystko harmonizuje z ponawianymi wskazaniami Kościoła w tej dziedzinie. Była okazja współmyśleć ze słuchaczami podczas wykładu *Jesteśmy dziećmi nowego tysiąclecia czy »dziećmi telewizyjnymi«?* (20 V 2000 r.), gdy na III Poznański Festiwal Nauki i Kultury nasz Wydział Teologiczny UAM zgłosił wykład ks. prof. Jerzego Troski i mój. Miała być przy tej okazji promocja wspomnianego poradnika. Szkoda – jego druk uległ opóźnieniu.

W obrębie katechezy

Byłoby niesprawiedliwością, gdybym nie wspomniał ks. dr Mariana Finkego! W mrocznych czasach zniewolenia, ale już docierały sygnały o eksplozji informacyjnej, a kultura masowa, *wizualizm* epoki był coraz wyraźniejszy, ten *rasowy*, myślący pedagog często zabierał mnie po wykładach seminaryjnych na perypatetyczny spacer, kiedy to rozważaliśmy, co to może znaczyć dla dziecka, dla katechezy. To on mnie namawiał, do pisywania

artykułów na ten temat w redagowanym przez siebie „Katechecie", to on opublikował jakby na swoje zamówienie artykuł wprost interwencyjny: *Dziecko telewizyjne – nowa rzeczywistość* (1970, 3). To on opublikował ściągnięty z dalekiej... Australii i zaadaptowany przeze mnie program edukacyjny w kolejnych numerach jako *Pedagogia masowego przekazu w obrębie katechezy* (1978, 1 – 3, kolejno obszernie omawianą np. w „WTK", 12 marca, 4 maja 1978 roku). A więc znów sięgałem do *ojczyzny* eksplozji informacyjnej za oceanem, znów znajdowałem korespondencyjnych przyjaciół, że wspomnę tylko uroczego o. Anthony'ego Schillaci OP i jego *Movies & Morals,* Notre Dame 1968, Kyle'a Haseldena *Morality and the Mass Media* Nashville 1968, cenne i inspirujące studium Paula A. Soukupa SJ *Communication & Theology: Introduction and Review of the Literature,* The World Association for Christian Communication in cooperation with the Centre for the Study of Communication and Culture, London 1983.

W środowisku twórców kultury

W tym kontekście niech mi wolno będzie powiedzieć o... przygodach z aktorami (a i plastykami!), z którymi zawsze znajdowałem wspólny język, a i przyjaźń – np. z Wiesiem Komasą, nie zapominając gdańskich Kiszkisów, Jurka i Halę Winiarską, z którymi byłem zżyty... *od zawsze.*

Jeśli nie pisać o zleceniu mi zorganizowania misterium w katedrze (adaptacja życiorysu Pięciu Braci Męczenników Polskich Brunona z Kwerfurtu i reżyseria Ireny Byrskiej z Warszawy) z okazji obchodów Tysiąclecia Diecezji Poznańskiej, części artystycznej powitania przy powitaniu Obrazu Nawiedzenia (maj 1982) i innych okazjach (m.in. wspaniale brzmiące, namaszczone teksty Biblii Wujkowej!), to nominację formalną na *duszpasterza artystów sceny* (potem *środowisk twórczych*) otrzymałem 24 II 1981 roku. Dodam, że pomijam tu nominacje i polecenia w rodzaju: egzaminator prosynodalny (1981 r.), cenzor ksiąg treści religijnej (1988 r.), praca w podkomisji ds. Głoszenia Słowa Bożego przygotowującej Synod (1992-1993). A to wygłosić konferencję adwentową, przetłumaczyć coś z lub na angielski, udział w rewizji pism Sług Bożych... A zastępstwa wakacyjne na parafiach?

Duszpasterstwo twórców kultury, to oczywiście specyficzne zadania: od konferencji i liturgii, rekolekcji, urozmaicanie spotkań opłatkowych z Ordynariuszem – po różne inicjatywy artystyczne, z których szczególnie pamiętam czytanie w kościołach Księgi Joba, z tekstów Karola Wojtyły – *Myśląc Ojczyzna...* (zob. I Tydzień Kultury Chrześcijańskiej w Poznaniu – 14–21 XI 1982, PST 1984, 5). Organizowanie im spotkań w ludźmi w kościołach. A jak i dziwnie, i wzruszająco wyglądało rozprowadzanie darów zagranicznych, jak nasi aktorzy, literaci, plastycy wybierali i przymierzali używane rzeczy, rozlewali z pojemników oliwę... Wszystko to trzeba było wycyganić

od proboszczów, bo mi nie przydzielano. Także jakiś *zaokrąglony* zwrot kosztów podróży dla osób sprowadzanych i przyjeżdżających ma wykład. Potem Egon Naganowski, patriarcha poznańskich literatów, gdy pisał opublikował wspomnienia z tamtych lat stanu wojennego, zechciał zapomnieć o tych bohaterskich czasach, które razem przeżywaliśmy. Może to zapisał nachodzący wielu z nas na Tumie... ubowiec. Na parę włamań do mieszkania i kradzieży (najpoważniejsza połączona z dewastacją mieszkania w 1997 r.) – na pewno on w stanie wojennym zorganizował bardzo *kulturalną*: poza wybiciem okna i wyważeniem okiennicy – nic złego nie zrobiono. No, może chciano przepłoszyć dusipasterza, sfotografować leżący w szufladzie spis gromadzących się twórców?

Ale dostałem nagrodę! Podczas uroczystości dziesięciolecia Teatru Nowego Iza posadziła mnie w pierwszym rzędzie, tak że wierchówka partyjna musiała uważać, by mnie nie dotknąć i nie ulec skażeniu. Ja zaś dostałem pamiątkowy album z dedykacją: „*Duszpasterzowi Dusz Twórczych Poznania – z wyrazami wdzięczności za MĄDROŚĆ – Izabella Cywińska. Poznań, 1. 06. 84 r.* – Czy się w tym sformułowaniu nie pomyliła??

Redaktor

Redakcja „Biblioteki Kaznodziejskiej" – moje ostatnie miejsce pracy i zadanie, w którym ogniskuje się całe dotychczasowe doświadczenie i przygotowanie intelektualne, a przede wszystkim moje... duszpasterzowanie, choć *pośrednio* – przez księży, którym podsuwam materiały pomocnicze, a w chętnie i uważnie czytanych *Wprowadzeniach*, jak to łatwo zauważyć, prowadzę z nimi braterski, pastoralny dialog. Całość zaś, to zmaganie się z chęcią – przepraszam – łatwizny niektórych... Ci nieliczni chętnie braliby do ręki teksty (wszystko *lekko, łatwo i przyjemnie* przygotowane, wyciskające łezkę u słuchaczy zaciekawionych fabułkami) gotowe – *horribile dictu!* – do *mechanicznego* odczytania na ambonie, a tu ktoś prowokuje ich do przemyśliwań, opracowywania własnej wersji... Może niepotrzebnie się tego boję, bo jak można się zorientować, przytłaczająca większość 6 tysięcy prenumeratorów przejęła mój sposób myślenia homilety-duszpasterza i właściwie korzysta z materiałów w swoim zapracowanym żywocie duszpasterza, który dobrze rozumiem. Także akceptuję jedną z innowacji, które ciągle są czynione: coraz aktywniejsza rola osób świeckich, wchodzących w nasze forum współpracy księży (tak rozumiem funkcjonowanie miesięcznika homiletycznego) – efekt moich doświadczeń w prowadzeniu *rozmów po kazaniu* podczas praktyk diakońskich, kiedy to im mówiłem: czemu państwo nie powiedzieli tego przedtem, gdy duszpasterz przygotowywał homilię? Jeśli sam z wami nie rozmawia, to starajcie się go do tego zachęcić, bierzcie współodpowiedzialność za sprawę – razem jesteśmy Ludem Bożym. Owe –

jak to nazwałem *sugestie słuchacza*, *komentarz słuchacza* zaznajomionego z tematyką homilii, którą duszpasterz ma przygotować – to przysłowiowe trzymanie ręki na pulsie, a treść tych komentarzy, to kopalnia refleksji nad stanem religijności, konkretnymi zapotrzebowaniami przykładowego polskiego katolika, brakami w wykształceniu katechetycznym, dowodami zwątpień i niepokojów... Rzecz godna oglądu i zastanowienia – nie tylko czytających numer duszpasterzy...

Jakie kazania?

A ileż to zmagania się o podejmowanie tematyki Programu Episkopatu, który parokrotnie wyraźnie chwalił Jan Paweł II! *Cięgi* za to dostawaliśmy my, a nawet ponosiliśmy konsekwencje, także finansowe w postaci kontestowania nas i Programu: *Zostawcie to, tak jak wszyscy inni! Dawajcie napisane spontanicznie, własne homilie księży.* W swoim czasie ci prenumeratorzy odeszli, a od dłuższego czasu widać tendencję do wzrastania, mimo że konkurencja jest ogromna – zalew publikacji i książek z kazaniami: wystarczy kupić jedną książkę lub zaprenumerować czasopismo, które usłużnie włącza chodliwe materiały, i sprawę pomocy ma się z głowy! My zaś ciągle zabiegaliśmy o otrzymanie na czas nowego Programu, honorowaliśmy autorów (ostatnio ks. dr Zbigniewa Adamka). Innowacje ciągle są robione – poziom edytorski wysoko oceniła grupa warszawskich twórców (innych oficjalnych ocen nie było, za to cenimy sobie głosy tych, którym służymy), gdy im ich duszpasterz zaprezentował, tzn. *mój Wiesiu* z czasów wspólnych studiów na KUL, ks. dr Wiesław Niewęgłowski (już nie tylko dochtor, ale i prałat honorowy, i obrońca Grobu Pańskiego ze szpadą – niczym Prymas Glemp. Czego to on w tej Warszawce się nie doczekał...). Dziś nie bez znaczenia jest także *opakowanie* – sposób podania, nawet grafika, o którą dbamy (cenna współpraca naszego grafika, p. Stanisława Grześka). Warunki pracy i ustalenia formalne, jakie stworzył nowy zarząd Drukarni i Księgarni Św. Wojciecha (ks. Bogdan Reformat, p. Andrzej Nowakowski), umożliwiają nam swobodną, twórczą pracę. Wśród nowych, stale współpracujących i duchownych, i świeckich, trzeba mi tu odnotować moje... *Ziółko* ks. dr Andrzeja Ziółkowskiego CM (pastoralista z PAT w Krakowie), z którym nic mnie nie dzieli, poza... odległością. Znalazłem w nim nie tylko twórczego, aktywnego współpracownika, ale i przyjaciela.

Redakcyjna kuchnia

Dołączył ks. dr Adam Kalbarczyk, sam bardzo dobry kaznodzieja, pastoralista, znał szereg osób zdolnych do współpracy. Mam z kim omawiać problemy, projekty – on zaś wzbogacił pismo swoimi tekstami, jak to można zauważyć. Jestem spokojny o to, że gdy przyjdzie *wyprzągnąć* – będzie ktoś wpracowany, zdolny kontynuować pracę. Niestety, stało się inaczej...

Długie lata pomagała w pracy s. Juliusza Nowak. Zespół redakcji jeszcze bardziej się poszerzył: już nie tylko pracuje jedna osoba, sekretarka – teraz p. Aneta Wolniewicz – ale dodano etat: usprawniony został nasz własny dział prenumerat i przede wszystkim działa moja *prawa ręka* – p. mgr Sylwia Solarska: sprawnie pracuje jako redaktor pomocniczy, korektor, zajmuje się promocją i reklamą pisma itp... A jak piszę o Sylwii, nie mogę nie wspomnieć Jędrka – jej męża, już jako parolatka mojego niezawodnego przyjaciela, a teraz duuuużego, wysokiego, na ważnym stanowisku urzędowym, na którego zawsze mogę liczyć i polegać *jak na Zawiszy* (harcerz *od zawsze*, a niech Jurek, jego ojciec, nie zazdrości, że tak chwaalę syna!). Błogosławiłem ich małżeństwo po okresie przygotowywania się, którego ważnym czynnikiem była wczesna Msza św. w katedrze, na którą się zjeżdżali z różnych stron miasta. A jak mnie wspierali – i wspierają! – w troskaniu się o bezdomną Czesinę...!

Jednak by sytuację nie przedstawiać zbyt różowo, trzeba dodać, że odbiorcy są dość bierni lub mają luki w formacji homiletycznej, tak że proporcjonalnie do ilości prenumeratorów odgłosów z terenu – prenumeratorów głównie spoza Archidiecezji (czy to efekt mojego wieloletniego formowania i kładzenia akcentu na własną inwencję?) – jest stosunkowo mało. Czynione od czasu do czasu sondaże opinii nie budzą wielkiego zainteresowania. Moją uwagę zwróciła kiedyś odpowiedź na ankietę w formie nie odkrywczego zdania: *Wy się znacie na sprawie, więc róbcie swoje, a my swoje.* Paru mniej twórczych zaś żaliło się na przeintelektualizowanie niektórych tekstów (a przecież przeznaczonych dla czytającego, który ma je wykorzystać i uprzystępnić swoim słuchaczom: trzeba mieć, żeby dać!) i wołało tradycyjnie o... przykłady. Jeśli chodzi o materiał poglądowy, wątki pomagające przeżyć prawdę itd. – to słusznie. Najgorzej, gdy korektorka słyszy przykład w kościele z tekstu, który adiustowała, tylko w jednym wypadku zmieniony. W następną zaś niedzielę w innym – jeszcze raz jakąś wersję. To relacja p. Krystyny Wąsowicz, *od zawsze* związany z nami korektor i redaktor techniczny w Św. Wojciechu, później z „Katechetą". I tak *opowiadanko* poszło w Polskę podważając wiarygodność tego, co ksiądz opowiada – przykro, że w kontekście odwiecznej, niezmiennej prawdy. Tak redaktor – nie przestaje być homiletą, a i pedagogiem, terapeutą.

Z błogosławieństwem arcybiskupa Stroby

Ale *ab ovo* – parę aspektów formalnych. Po śmierci biskupa Tadeusza Ettera, otrzymałem 15 I 1985 od arcybiskupa Stroby – znów nagle... – pismo: *Mianuję Księdza Doktora Redaktorem »Biblioteki Kaznodziejskiej« na okres trzech lat. Jest to czasopismo realizujące plan kaznodziejski Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski i dlatego ewentualne zmiany w sposobie*

jego redagowania trzeba uzgadniać ze mną. Na odpowiedzialną pracę w kaznodziejstwie polskim z serca błogosławię... Odpowiednio do tej decyzji – umowa o pracę z Księgarnią Św. Wojciecha. Gdy minął ten okres, przypomniałem to Arcybiskupowi *oddając się do dyspozycji.* Odpowiedź 21 I 1988 roku: *Ciesząc się z dotychczasowych osiągnięć Księdza Doktora w pracy nad redakcją »Biblioteki Kaznodziejskiej« przedłużam na dalsze lata Jego nominację na Redaktora zawartą w piśmie z dnia 15 stycznia... Życzę dobrego zdrowia, wielu pomysłów redakcyjnych i światła Ducha Świętego...*

„Historia jednego życia" i trochę kłopotów

Tak to toczyła się i toczy *historia jednego życia* (ładny tytuł wspomnień Żyda, prof. Ludwika Hirschfelda, w których rozczytywałem się w latach młodzieńczych). Latek przybywało, problemów zdrowotnych też, zwłaszcza odkąd przeprowadziłem się w 1983 roku na Ostrów Tumski 4 na mieszkanie po ks. dr Stanisławie Rumińskim – nie słuchając jego przestróg. 18 IX 1986 zwróciłem się do Rady Wydziału PWT o zmniejszenie godzin moich zajęć z racji pogarszającego się stanu zdrowia – o zwolnienie z 2 godzin pedagogiki społecznego komunikowania (kurs VI), 1 godziny *literatury katolickiej* (sam zmieniłem sobie program przesuwając akcent z niemożliwego do zrealizowania wykładu na ten temat na konwersatorium na temat interpretacji utworów literackich, w tym i katolickich oraz ich specyfiki), z kilkunastu godzin teologii przepowiadania (V kurs zaoczny) chcąc kontynuować formację pastoralną – homiletykę na trzech kursach (IV, V i VI) łącznie z wizytowaniem diakonów na praktykach. 26 IX prosiłem Kurię o zwolnienie z obowiązków duszpasterza środowisk twórczych przedstawiając żądane świadectwo zdrowia, czym się tu nie będę chwalił i dopisywał dalsze problemy zdrowotne. I stało się: uzyskałem zwolnienia – ograniczenie zajęć i możliwość skoncentrowania się na najważniejszych. Mógłbym jeszcze wspomnieć, że kontakt z paroma lekarzami, z których pomocy wypadło mi korzystać, przemienił się w przyjaźń. Tak choćby z cenionym stomatologiem – chirurgiem, dr Jarosławem Pospiechem, którego małżeństwo błogosławiłem, a potem przeżywałem z nim jego rozpad i ojcowskie dramaty. Tak choćby z psychiatrą i lekarzem sądowym, dr Ryszardem Gipką, w którego domach (sic!) jestem... *domownikiem*, a toczymy – do dziś – jakże ciekawe dyskursy i na bieżąco informujemy się o *wszystkich naszych dziennych sprawach*...

A jednak arcybiskup Stroba (przy wtórze obu Biskupów Sufraganów) – z powodów, których nie trudno się domyślić – namawiał mnie w swoim czasie do kierowania po ks. dr Mieczysławie Brzozowskim (KUL) opracowywaniem programu Episkopatu. Gdy w końcu pisemnie odmówiłem podając motywację, otrzymałem odpowiedź (19 XI): *Czcigodny i Drogi Księże*

Doktorze! List z dnia 5 listopada nie ucieszył mnie, lecz przekonał. Szkoda. Miałem nadzieję, iż taka praca przyniesie zaszczyt diecezji, przyczyni się do poszerzenia doświadczeń, a może i pozwoli zapomnieć o dolegliwościach fizycznych. W wypadku choroby Księdza Doktora wydaje się jednak, że działanie na przekór mogłoby być niebezpieczne. Dziękuję za szeroką informację. Pozdrawiam w Panu naszym i błogosławię...

Ksiądz prałat Bielerzewski

Ale relacja o moim redaktorstwie nie byłaby pełna, gdybym nie wspomniał śp. ks. prałata Ludwika Bielerzewskiego – wieloletniego dyrektora Księgarni Św. Wojciecha, który od lat pokładał we mnie wielkie nadzieje, acz ich realizacja w tym okresie nie leżała w jego gestii: ksiądz powinien być redaktorem „Przewodnika Katolickiego" – takich lub innych stanowisk mi życzył przy okazyjnych spotkaniach. Aż tu już schorowany zatelefonował 5 lutego 1996 roku pytając, czy jestem w domu, bo kogoś do mnie przyśle. Rzeczywiście – za chwilę przyszła pewna pani i przyniosła mi jego list ze stuzłotówką w środku: *Szanowny i Drogi Księże Kanoniku*, „Biblioteka Kaznodziejska", *której miesięczne zeszyty Szanowny Ksiądz Redaktor regularnie mi dosyła, pomaga mi śledzić rozwój myśli religijnej... – przypomina Drogiego Księdza. Wdzięczny za wielką życzliwość, mam jedną prośbę, aby Czcigodny Ksiądz Kanonik we Mszy św. raczył choć raz wspomnieć zmęczonego pielgrzyma zdążającego do bram Wiecznego Raju... Łączę wyrazy szacunku i serdeczności.* Ta prośba była wzruszająca – modliłem się i modlę za Niego.

„Teraz dopiero będzie dobrze wyglądał"

On pierwszy przekazywał mi gratulacje z okazji kanonikatu, a niech się pochwalę i takimi, jak... Arcybiskup Metropolita Szczecińsko-Kamieński, Marian Przykucki: *Carissime! ...Ogromnie się cieszę, że odznaczenie to spotkało tak bliską mi Osobę, i że doceniona została Jego praca dla dobra Kościoła i Archidiecezji. Życząc obfitych łask Bożych łączę wyrazy przyjaźni i oddania oraz moc pozdrowień...* Biskup Kaliski Stanisław Napierała: *...Drogi Zdzisławie, cieszę się z Twojej nominacji kanonickiej...* Ale przy okazji chciałbym wspomnieć życzenia jeszcze innego sędziwego kapłana, autora i kazań (szczególnie dla dzieci), a i innych facecji, z którym często mieliśmy miłe pogwarki. Pisał m.in.: *...A człowiek się cieszy, że może Zasłużonemu Konfratrowi dobrze życzyć... Nominacja jest dowodem uznania dla znojnej, trudnej i bardzo doniosłej pracy redaktorskiej. Niech ta zasłużona i wysłużona radość trwa!!! – ks. Kazimierz Pielatowski.*

A rzecz sama odbyła się 15 czerwca 1992 roku, kiedy to arcybiskup Stroba dokonał następnego *wysypu* nominacji – jak to lubił dla żartu określać. *Już więcej nic nie ma, ale jeszcze zostały te honorowe...* Wręczył mi pismo: *Drogi Księże Redaktorze! Zgodnie z kanonem 509 p. 1, mianuję*

Księdza Redaktora kanonikiem honorowym Świetnej Kapituły Kolegiackiej w Poznaniu. Na dalszą służbę Kościołowi Poznańskiemu z serca błogosławię. Następnie podchodził do nominowanych. Gdy na końcu dotarł do nas, w tymże nastroju *pół żartem, pół serio* do mnie powiedział dwa zdania: *Padnie ta* „Biblioteka Kaznodziejska", *padnie? – Obaczym. – O, dobrze wygląda! – Teraz dopiero będzie dobrze wyglądał.*

Tylko co powiedzą ludzie

Wobec tego – kończę. W każdym razie dziś odchodzę od polubionego (co???) od lat komputera, który bez buntu, życzliwie to wszystko utrwalił. Tylko co powiedzą ludzie? Zaraz na życzenie wyślę do przeczytania e-mailem Ziółkowi do Krakowa, a w redakcji przeczyta Sylwinka, za to przede wszystkim rolę pierwszego czytelnika przejmie *Gacek* vel już zhabilitowany Adaś Przybecki. Dufam, że przeczyta, bo musi – główny Inspirator (nie mylić z inkwizytorem!) powstania tego tekstu – ks. dyr. Feliks Lenort. Że jestem jemu bardzo wdzięczny za to, iż zmusił mnie do tak ryzykownego, fragmentarycznego spojrzenia na własne życie – chyba nikt nie wątpi. A ponieważ dziś, 9 sierpnia 2000 Roku Jubileuszowego, święto Teresy Benedykty, z brewiarza przepisuję dla siebie i Czytelnika – jak przystało na homiletę – małe Jej *kazanko*:

Słowa »Bądź wola Twoja« powinny stać się dla chrześcijanina normą życia, powinny regulować bieg dnia od rana do wieczora, być ciągle główną naszą myślą. Wszystkie inne troski Bóg przejmie na siebie, nam do końca życia pozostanie ta jedna, gdyż nigdy nie możemy być pewni, że zawsze znajdujemy się na drodze, która wiedzie ku Niemu.